

55712

II





55712

II

P

„SZKICÓW“ T. 7.

P. MALWIKOWSKI.



TAJEMNICA
PANI KRZUCKIEJ.

Nowella.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM REDAKCYI „SZKICÓW SPÓŁ I LITER.“

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1876.

TALAMNICA

PAUL KRZUCKIEM

Howells

~~Howells~~ 839.

TAJEMNICA

PANI KRZUCKIEJ

TAJEMNICA PANI KRZUCKIEJ.

A 420/a/88

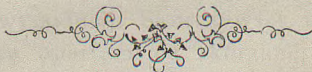
p. 8 w.

TAJEMNICA PANI KRZUCKIEJ.

Nowella

przez

P. MALWIKOWSKIEGO.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“

pod zarządem J. Łakocińskiego.

1876.

TAJEMNICA

PANI KRZUCKIEJ.



Nowells

1876

WARSZAWA

55712

11



Odbicie ze «Szkiców społecznych i literackich». — Nakładem Redakcyi.

W KRAKOWIE

Wydawnictwo Literackie

1876

I.

W WAGONIE.

Było to w roku 187*, w miesiącu Grudniu czy Listopadzie.

Jechałem koleją żelazną z królestwa Galicyi i Lodomeryi do Wielkiego Księstwa Krakowskiego. Zimno było dokuczliwe. Podniosłem do góry kołnierz moich szopów, barankową czapkę nasunąłem na uszy i układałem się na ławce jak mogłem najwygodniej. Skurczywszy nogi wciągnąłem je pod futro, głowę oparłem na skórzanęj torbie i zacząłem drzemać. Prócz mego nosa i okularów na nosie nie było mnie widać z pod futrzanego okrycia.

Sam jeden byłem w wagonie. W ten sposób jechałem kilka stacyj, w pół drzemiąc, w pół marząc.

Niepomnę na której stacyi, otworzyły się drzwiczki wagonu i dostałem towarzysza podróży. Był to młody jakiś rosły mężczyzna w krótkim kubraku podbitym barankami, na który niedbale zarzucił szeroką bundę z bernardyńskiego sukna. Widocznie nie czuł on zimna, które mnie srodze dopiekało. Twarzy jego nie mogłem się przypatrzeć, para z moich ust bowiem, osiadając na okularach, zapociła je

i zamarższy uczyniła prawie nieprzezroczystymi. Nie spodziewałem się zresztą, aby tym towarzyszem podróży był dobry mój znajomy, Warszawianin, Mieczysław Elski, młody jurysta.

Chwilę jechaliśmy razem nie mówiąc ani słowa, nagle Mieczysław przypatrzywszy mi się bliżej, śmiejąc się wymówił moje nazwisko.

Przetarłem okulary i poznawszy pocziwego Miecicia, uściśnąłem serdecznie podaną mi rękę.

— Zaledwie cię poznałem. Prócz nosa i okularów nie było cię widać w tych szopach.

— Nie trudno ci też było poznać ten długi nos i te okulary, których tyle narysowałeś się karykatur.

— Ha, ha! pamiętasz jeszcze? Dawne to czasy. Ślęczałem wówczas nad łaciną a tyś był już na trzecim roku prawa. A dziś jam już Doktorem praw... niezapominaj tytułować mnie Doktorem... Jestem u Adwokata, a za lat parę będę miał własne biuro...

— Ale wiesz ci Doktorze, wiesz! Sława twoich rygorozów doleciała aż do mnie. Słyszałem także, że twoja rozprawa «o rozwodach» w świecie prawniczym zyskała ogromne pochwały. Wiesz ci z całego serca.

Miecicio smutnie się jakoś uśmiechnął.

— Szczęśliwy jesteś, — mówiłem dalej — świat ci teraz stoi otworem, życie ci się uśmiecha! A jak wybornie wyglądasz, zdrów, czerstwy, rumiany. A jaki ładny z ciebie chłopiec!... Teraz tylko ożenić panicza!

— Dajże pokój. Ani myślę.

Znów ten sam uśmiech smutny.

— To źle, że nie myślisz. Jabym cię zaraz wyswatał...

— A! to już widzę, że i was w Galicyi zapanowała mania swatania. Ledwie umknąłem przed nią z Warszawy a i tu mi nie dacie odetchnąć.

— Z kimże cię tam swatają?

— Matka chce mnie koniecznie ożenić z panną Seweryną S., zapewne jęj nie znasz.

— Cóż to za panna?

— Dobre dziecko i ładne — ale mnie to ani w głowie.

— No, to możeś zakochany?

— Et, nie mówmy o tem. Powiedz mi lepięj, po co jedziesz do Krakowa?

— To ja raczęj zapytać cię muszę, z kąd się wzięłeś w Galicyi?

— Bawiłem w Sabałówce u mego wuja, w Tarnowskiém.

— A no, to zapewne i pan Dezydery swoim zwyczajem musiał cię swatać ze wszystkimi pannami w okolicy? I cóż, wracasz teraz już do Warszawy?

— Nie jeszcze. Jadę tylko na dni kilka do Krakowa. A ty?...

— Jadę w interesie mojęj ciotki, która nabyła majątek od pana Waleryana Krzuckiego. -- Mam się z nim zjechać w Krakowie...

Dziwny jakiś wyraz przemknął po twarzy mego przyjaciela, gdy wymówiłem to nazwisko.

— Czy go znasz? — zapytał.

— Doskonale. Dzieckiem byłem jeszcze, kiedy p. Waleryan bywał codziennym prawie gościem w domu mego ojca.

— W jakimże on wieku?

— Około pięćdziesięciu lat, co najmnięj.

— Pięćdziesiąt! — zawołał ze zdziwieniem.

— Dlaczegoż cię to tak przestrasza?... Tak, ma lat pięćdziesiąt, ale niktby się tego nie domyślił: zdrow jak ryba i wesół jak dwudziestoletni młodzieniec.

— Więc go znasz zbliska? Cóż to za człowiek?

— Najzacniejszy w świecie. Rubaszny nieco, ma może niejedną śmieszność, ale kto go bliżęj pozna, musi go poważać... Ale czemuż tak się dopytujesz o niego?

— Bo znam jego żonę i dziwię się, że za niego poszła.

— Czemu?

— Bo to prawie dziecko, lat dwadzieścia — a już od dwóch lat zamężna... Ha! ojciec kazał — musiała. Czy jój nie znasz?

— Nieznam dotąd, a wielce jestem ciekawy ją poznać, bo mi o niej mąż opowiadał, jak o ósmym cudzie świata. Zakochany jak młokos.

— Nie dziwię się. Ah, bo też piękna! precudownie piękna! A jaki rozum! jakie wykształcenie!

— No, no, coś bardzo w zapał wpadasz. To mi się podejrzanem wydaje. Czy nie miłość studencka?

— Studencka? nie, ale dziecięca. Dziećmi bawiliśmy się razem. Po całych dniach przesiadywałem w domu jój rodziców, bawiąc się z nią i z jój braćmi tak jakbym należał do rodzeństwa. A później, gdyśmy podrosli oboje...

— Cóż później?

— Zdawało nam się jeszcze, żeśmy rodzeństwem.

— Ale zapewne nie obojgu. Tobie niezawodnie przyszło na myśl, że taka siostra mogłaby zostać żoną.

— Nie przeczę, nie przeczę, ale nie indaguj mnie... w samą rzecz jeźlibym się był kiedy ożenił — to z nią.

— Ho, ho! a teraz myślisz umrzeć w celibacie. To widzę miłość na prawdę!... Miłość, a może i romans? A po ślubie, czy ją widziałeś?

— Co tobie za myśli przychodzą! Widziałem ją w Krynicy przeszłego roku — ale tak jakbym niewidział... bo tylko pół godziny. Odjeżdżała właśnie tego dnia, którego ja przyjechałem.

— I przyszło do wyjaśnień: czemu, jak, dlaczego?

— Wcale nie. Nigdy między nami przed jój zamęciem nie było mowy o miłości, to i do wyjaśnień nie było powodu — czemu za mąż poszła. Zapewne, gdybym nie był wyjechał z Warszawy na uniwersytet, — byłoby stało się inaczej...

— A więc to miłość milcząca i bez romansu? Czy tylko pewnie?

— Ależ pewno! pewno! Cóż to z ciebie za inkwizytor! Czy boisz się o domowe szczęście twego starego pana Waleryana?

— W istocie, bo go wysoko poważam i kocham prawie jak starszego brata, a patrząc na ciebie, żeś taki śliczny chłopak — krew z mlekiem, przypomniałem sobie jego ogorzłą cerę, szpakowate włosy... i smutno mi się zrobiło na sercu.

— Bądź spokojny! Ona pod Karpatami, a ja w Warszawie. A zresztą... jeżeli z nim szczęśliwa... to mnie znasz przecież i nie wątpisz, żebym nie zamącał jej szczęścia.

Dłuższa nastąpiła pauza w rozmowie. Zadumaliśmy się obaj. Łatwo było odgadnąć o czém marzył mój przyjaciel. Co do mnie, przypatrywałem się szlachetnym a pełnym siły rysom młodzieńca, którego twarz pod wpływem falujących wspomnień takiego nabrała wyrazu, że za pochwycenie tej chwili najznakomitszy malarz chętnieby dzień życia ofiarował.

Zrzucił z głowy czapkę, jakby mimo kilkunastu stopni mrozu było mu gorąco. Bujne czarne włosy, lśniące jak pióra krucze, zsunęły się na piękne czoło, na którym przelatujące myśli jawiły się i znikwały w kształcie drobnych zmarszczków. Duże piwne oczy szczególną błyszcząły tęsknotą. Po ustach ozdobionych czarnym wąsikiem przemknął się czasem jakiś uśmiech bolesny. Mój Doktor Praw wyglądał nie jak jurysta ale jak poeta.

Po chwili wstrząsł głową, zarzucając w tył włosy, które mu się na czoło zsunęły, pochwycił mnie za rękę i zapytał spokojnym tonem głosu:

— Powiedz mi, czy ona jest rzeczywiście szczęśliwą z tym starcem?

— Mój drogi, o ile znam p. Waleryana, sędzę, iż może być szczęśliwą mimo takiej różnicy wieku. Obaczmy ich zresztą w Krakowie, to się przekonamy. Wszak to zaraz widać.

— O, to nie tak łatwo dostrzedz! kobiety takie skryte. Zamyslił się głęboko i dodał po chwili:

— Przedemną jednak nie potrafi się ukryć. Ja ją tak znam!...

— Wiesz co, mój Mieciu? — rzekłem patrząc mu w oczy, mnie się zdaje, że mężczyźni skrytsi czasem od kobiet. Mimo twoich zapytań, które zdawałyby się świadczyć, że nie wiesz czy jest szczęśliwą czy nie, miałbym ochotę posądzić cię, że przeszłoroczne wasze spotkanie w Krynicy... a nawet kto wie czy i teraz się z nią nie widziałeś...

— Proszę cię, nie mów w ten sposób o niej! — przerwał mi oschłym tonem Mieczysław, widocznie urażony mém podejrzywaniem

— Przebacz mi, nie miałem bynajmniej zamiaru ubliżenia jój ani drażnienia twego uczucia. Uczucia takie są święte i umiem je szanować.

— Gdybyś ją znał, nie myślałbyś tak. Mnie i bez pytań łatwo będzie odgadnąć, co się w jój sercu dzieje — bo ją tak znam! Ty nie wiesz jakie to było dziewczę wesole aż do pustoty, a jednak ile z tą wesołością łączyła rozumu i powagi w każdym swém zdaniu. Gdy się śmiała... a najpiękniejszą była gdy się śmiała... mrużyły się figlarnie niebieskie oczęta, bielutkie jak śnieg ząbki błyszcząły w różanej oprawie jak perełki — myślałbyś, że to dziecko rozswywołone... a takie przytem mądre słówka dzwoniły z tych usteczek, żeby się i niejeden uczonej zawstydził.

— Wiesz co, mój doktorze, niesłychanie mnie zaciękałeś. Nie uwierzysz, jak pragnę poznać tę perfekcyę. Ale chociaż jesteś *vir doctus* czy *doctissimus*, nie mogę cię uważać za kompetentnego sędziego w tym względzie. Zanadto się unosisz.

— Spytaj kogo chcesz w Warszawie z tych co ją znali, a każdy ci to samo powie o niej.

— Jakto? a obok tych perfekcyj, czwż żadnej w niej wady świat nie dopatrzył? Ej, powiedz szczerze!

— Cóż? Zarzucano jój upodobanie oryginalności w toalecie — dlatego, że na każdym wieczorze była ubraną ina-

czej od swych rówieśniczek — i zawsze od nich gustowniej, a zwykle fantastycznie. Nazywano to ekscentrycznością.

— No, to zazdrość panińska. Ale nie mówię o stroju. W niej samój, w jój charakterze, czy nie dopatrzono żadnej wady?

— Powiem ci: żadnej! chyba to jedno mówiono, że Margerita zanadto dobrze wie o tém, że jest piękną. Ale któraż kobieta o tém nie wie!

— Małgorzata jój na imię?

— Margerita.

W téj chwili zatrzymał się pociąg. Stanęliśmy w Krakowie. Było około jedenastój zrana.

— Do którego hotelu zajedziesz? — zapytałem.

— Do Saskiego. Stańmy razem.

— I owszem, doktorze.

II.

W HOTELU.

Zajechaliśmy tedy przed hotel Saski.

— Czy są stancye wolne?

— Są panie, na drugiem piętrze, dwa pokoje.

— Obok siebie?

— Obok siebie, w kurytarzu.

— Proszę prowadzić.

Na schodach spotkaliśmy pana Krzuckiego. Ucałował mnie stary w oba policzki i zahuczał basem, powtarzając swoim zwyczajem końcowy wyraz każdego prawie zdania po dwakroć.

— O!... a! mój królu, przecież, przecie! A spóźniłeś się... spóźniłeś! My tu już od wczoraj. A spieszy nam się

spiesz. Chcielibyśmy jutro wyjechać. No, oczywiście, jeśli skończymy nasze interesa...

— Tak państwu na wieś spieszno? Mrozy straszne aż dusza w człeku krzepnie.

— Nie, nie. My do Wiednia, do Wiednia... Ale chodź do nas prosto — na herbatę, na śniadanie.

— Przebiorę się i zaraz państwu będę służyć.

— Ceremonie! niepotrzebne... niepotrzebne! A zresztą żona moja zapewne ci się nie pokaże, bo chora...

— Cóż jest pani?

— Nic, nic tak złego, fluksia, mumps.

— Bardzo nam będzie przykro obydwom, gdyby nas ominęła sposobność widzenia pani, mój towarzysz chciał bowiem także państwu złożyć uszanowanie, jako dawny znajomy pani dobrodziejki: Elski z Warszawy, mój przyjaciel! Pan Krzucki!

Mieczysław, który zatrzymawszy się wraz ze mną na schodach, przysłuchiwał się naszej rozmowie, ukłonił się przy tej prezentacji, czekając na podanie ręki. Krzucki oddał ukłon dość chłodno, wbrew swojej zwykłej rubasznym serdeczności. Zdawało mi się nawet, że z pewną niechęcią spojrział na Mieczysława. Wycedził jednak przez zęby konwencyonalno-szlachecką jakąś grzeczność, że mu »bardzo miło« czy że się »cieszy« i dodał:

— A zatem czekam, czekam panów. Do widzenia, do widzenia.

— Do widzenia! — i przyspieszając kroku za kelnerem, który dawał znaki niecierpliwości, pociągnąłem za sobą Mieczysława:

— Chodź doktorze!

Krzucki, który schodził ze schodów, przy tych słowach raz jeszcze się oglądnię, a zadziwiony wyraz twarzy z którym spojrział na Mieczysława, nie uszedł mojej uwagi.

Przyszedłszy do przeznaczonego nam a dobrze ogrzanego mieszkania, zrzuciliśmy z siebie futra, kazaliśmy usu-

nać szafę, zasłaniającą drzwi przedzielające nasze pokoje — i otworzywszy kufarki, które tymczasem przyniesiono, zabraliśmy się do uporządkowania naszej toalety.

— Gdzie tu mieszkają państwo Krzuccy? — zapytałem odchodzącego kelnera.

— Na pierwszém piętrze — na tym samym kurytarzu, ot właśnie pod stancyami WW. Panów, piąte drzwi na lewo.

Zanim zdołaliśmy się przebrać, godzina upłynęła cała.

— Czy zawsze się stroisz z taką starannością? — zapytałem Mieczysława, widząc go pomadującego przed zwierciadłem czarne swe wąsiki, wyciągającego z pod rękawów nakrochmalone mankiety i poprawiającego po raz dziesiąty szafirową krawatę.

— Dziwne pytanie! — odrzekł wstrząsając głową. — Wszak idąc do kogoś z pierwszą wizytą ubrać się wypada porządnie. Jużem gotów.

Lekki rumienieniec przemknął mu po twarzy.

Zeszliśmy na pierwsze piętro.

— Czy uważałeś, — rzekł Mieczysław idąc ze mną długim kurytarzem, — czy uważałeś jaką ten twój pan Walerian dziwną minę zrobił przy téj prezentacyi na schodach? Tak wyglądał, jakby moje nazwisko pierwszy raz w życiu obito mu się o uszy. A przecież niepodobna, aby mu żona nigdy nic o mnie nie wspomniała! Widocznie nie lubi on dawnych znajomych swój żony.

— O ciebie można być wprawdzie zazdrosnym, ale ja wątpię w ogóle, aby Krzucki był skłonny do zazdrości. Przewidziało ci się zapewne.

— O nie! obaczysz.... Ale to już tutaj: piąte drzwi na lewo...

III.

ŁZY I RUMIENŃCE.

Pan Waleryan przywitał mnie ze zwykłą serdecznością, Mieczysława zaś z widocznym zakłopotaniem. Pani Krzuckiej nie było w pokoju, a gospodarz zapowiedział, że jest tak cierpiącą, iż z żalem odmówić sobie musi przyjemności poznania jednego z najlepszych przyjaciół swego męża. O Mieczysławie nie było wzmianki w tej steoretypowej grzeczności, a to pominięcie go milczeniem, już samo-przez-się za niegrzeczność uchodzić mogło. Łatwo było dostrzedz w jego twarzy, że to uczuł.

Herbata stała na stole. Gospodarz pełniąc obowiązek gospodyni, nalał nam ją do filiżanek i zaczęła się rozmowa niepomnę już o czem, wiem tylko, że co kilka słów się urywała.

Zdawało mi się, że najlepiej zrobię przystępując do wyłuszczenia interesu, który mi powierzyła ciotka. Okazało się wkrótce, że załatwienie całej tej sprawy żadnym wcale nie podlega trudnościom, a pan Waleryan oświadczył z własnej chęci gotowość nienalegania na wypłatę resztującej kwoty z ceny kupna, tak długo, dopóki nieuzasadniona pretensya na sprzedanym majątku prenotowana, z tabuli wykreśloną nie zostanie. Tego właśnie żądała moja ciotka. Prosiłem tedy tylko pana Waleryana o pisemne oświadczenie w tej mierze na co bez oporu się zgodził. Interes w przeciągu dziesięciu minut został załatwiony i znowu nie stało nam tematu do rozmowy.

Kilka razy zagadnął pan Waleryan coś o gospodarstwie, to znowu o zamierzonej podróży do Wiednia; kilka razy zacząłem coś o ostatniej powieści Kraszewskiego i o spodzie-

wanej zmianie ministerium; kilka razy Mieczysław odezwał się ni w pięć ni w dziewięć o warszawskim dziennikarstwie i o saskim ogrodzie — ale nitka się rwała co chwila.

W tem otworzyły się drzwi przyległego pokoju i weszła pani Waleryanowa.

Była to osoba cokolwiek więcej, niż średniego wzrostu. Elegancki, szafirowy jedwabny szlafroczek opinał aż pod szyję prześliczny biust, prawdziwie klasycznych kształtów. Czarne jedwabne szamerowanie na piersiach zwiężało się ku talii, szczupłej jak u czternastoletniego dziewczęcia, a uwydatnionej jedwabnym lśniącym sznurem, którego końce ozdobione kutasami, spadały aż po niżej kolan. Niżej, z pod szlafrocza ukazała się precudnej małości nóżka w czarnym prunelowym buciku.

A główka? — Na wpół rozplecione i przewiązane szafirową aksamitką jasno-popielate włosy, spadały olbrzymią złocistą kaskadą na jej ramiona i plecy aż poniżej talii. W górę zaczesane z przodu, odsłaniały one gładziuchne czoło alabastrowej białości, z pod którego przejrzystej powierzchni przeglądały drobne żyłki, cieniujące się co chwila inaczej, to wyraźne, to znów ledwie dostrzegalne. Jak zwierciadłce się na tle jeziora chmurki, przelatywały te odcienia po jej czole gdy mówiła, a pod kształtnym łukiem brwi, ciemniejszych cokolwiek od włosów, jaśniały z poza długich rzęsów dwa duże jasno-niebieskie światła, prawdziwie olśniewającego blasku... Jako owe wszechwładne fale niewidzialnej siły płynącej z rąk magnetyzera, o których mówią jasnowidzący, tak uderzały cię jej spojrzenia. Czułeś, że oprzeć się im niepodobna.

Na oczach musimy poprzestać... Greckiego noska, różanych ust, figlarnych dołków w policzkach i owych prześlicznych ząbków z słoniowej kości, nad którymi tak się unosił Mieczysław i rozkosznego podbródka i szyi z kararyjskiego marmuru nie dozwolono nam było ujrzeć i podziwiać tym razem. Zazdrosna fluksya, o której wspomniał pan Wa-

leryan, skłoniła panią Margeritę do ukazania nam się z twarzą przesłonią złożonym w kilkoro mięciuchnym woalem z *crêpe-de-Chine*, w ten sposób jak się ukazują zwykłym śmiertelnikom mieszkanki Serajów, zakwefione po same oczy.

Drobną, bieluchną rączką, którejby się kształtu i *Canova* nie powstydział, przytrzymała pani Margerita z pewną kokieterią tę zasłonę. Na palcach błyszczało kilka brylantowych pierścionków.

Piękną była pani Margerita! Trzebaby zebrać w jeden obraz, zestrzelić w jeden wyraz te wszystkie szczegóły nad którymi rozpisaliśmy się szeroko nieudolnym naszym piórem, aby pojąć jak była piękną! Ekscentryczne zakwefienie więcéj jeszcze uroku dodawało jéj piękności.

Zbliżyła się ku nam i podała rękę Mieczysławowi, wstrząsając nią w sposób jaki przystoi kobietom wobec bardzo blizkich tylko znajomych.

— Poznałam pana po głosie. Mąż mój powiedział mi, że ma być u nas doktor Elski, sądziłam że to ów lekarz — krewny pański, którego zaledwie znam. Mężu, — mówiła daléj, zwracając się do pana Waleryana, — to jest pan Mieczysław Elski, o którym ci tyle mówiłam...

— A! ja nie wiedziałem, nie wiedziałem!... dalipan! — i śmiejąc się grubym głosem pan Waleryan uściskał oburącz Mieczysława, przybliżając jakby dla tem większego uwydatnienia kontrastu, siwe swe szcnotkowate wąsiska do czarnych wąsików Mieczysława, a twarz ogorzałą i pomarszczoną do jego twarzy rumianéj, jaśniejącéj świeżością młodzieńczego zdrowia i siły.

Mieczysław chłodno jakoś i ceremonialnie odwzajemnił tę rubaszną serdeczność pocziwego hreczkosieja.

Pani Margerita, chcąc zapewne odwdzięczyć mężowi serdeczność okazaną wobec Mieczysława, wyciągnęła ku mnie rękę nie czekając na prezentacyę.

— Od kiedym za mąż poszła, pragnęłam poznać pana i śmiem uważać już nietylko za przyjaciela Waleryana — ale

nas obojga. Wszak mogę się spodziewać, że pan część téj życzliwości, którą okazywałeś zawsze mojemu mężowi, zechcesz przelać na mnie.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć na ten nieco wymuszony ale płynnie wypowiedziany komplement; uściśniętem podaną mi rączkę serdeczniej niż należało — i chciałem wybaknąć jakiś tuzinkowy frazes, gdy pani Krzucka przerwała:

— Przebaczenie panowie, że przyszedłam tu w tym dziwnym kostiumie, ale twarz mam tak spuchniętą... nawet mówić wyraźnie nie mogę...

— Wdzięczni być tylko możemy, że pani raczyła nam się ukazać mimo fluksyi! — zdobyłem się na nieszczególny komplement.

Pani Margerita znowu mi przerwała:

— Ale wszak to pan, jeżeli się nie mylę, także i z panem Mieczysławem w przyjaźni? czemuż pan go memu mężowi przedstawiłeś jako doktora? Czy to może tylko nieporozumienie?

— Nie, pani. Być może, że Mieczysława nazwał doktorem, bo jest nim w saméj rzeczy, — nie doktorem medycyny wprawdzie — ale doktorem prawa i sam dziś rano żądał ode mnie abym go tytułował doktorem.

Pogroził mi Mieczysław palcem za tę ploteczkę, która widocznie ubawiła panią Krzuckę, bo odtąd ciągle go zwała doktorem, a nawet pan Waleryan poszedł za jéj przykładem.

— Jeżeli mi pani ten tytuł nadajesz — żartował Mieczysław — to pozwól abym ją wziął w kurację. Znam doskonały środek na fluksyę...

— Ho, na ból zębów to każdy chce być lekarzem! — zaśmiał się basowym głosem swoim pan Waleryan — i dodał: E, to nic, to minie wkrótce, to zwykły *mumps!* *mumps!* i nic więcej!

Pani Margerita rzuciła na męża spojrzenie jakby zniecierpliwienia. Zdawało mi się, że dojrzał przelotny rumieniec

na twarzy; być może, że się zawstydyła przed nami za ten śmiech rubaszny męża.

Mieczysław patrzył w nią jak w słońce — ale smutnemi jakimiś oczyma. Rzecz dziwna, mimo szczerzej méj życzliwości dla pana Waleryana, przemknęła mi w duszy ta myśl, jak piękną oboje młodzi stanowiliby parę — a jak niedobranem jest dzisiejsze stadło. — Zdawało mi się, że oczy Margerity spotykają się często z oczyma Mieczysława, równie smutne jak jego i pełne tajonego jakiegoś cierpienia... Gdzież owa wesołość pani Krzuckiej o której mi tyle mówiono? Usta wprawdzie zasłonięte, — ale przecież nietylko usta śmiać się mogą — piękniej jeszcze od ust śmieją się oczy pięknych kobiet, a jéj oczy ani razu nie zabłysły uśmiechem. Te melancholijne, powłóczyście spojrzenia, to znowu chwilami niema jakaś zaduma, toż to ma być figlarna pustota naiwnie rozswywołonego dziewczęcia, która najpiękniejszym miała być jéj wdziękiem? — To były uwagi, które mi się mimowoli nasuwały w ciągu téj wizyty.

— Czy dawno pan widziałeś moich braci? — zapytała Mieczysława pani Krzucka. — Marcisia nie widziałam już dwa lata.

— Z Marcisiem widziałem się przed odjazdem z Warszawy, temu trzy tygodnie. Nie uwierzyłabyś pani jak się zmienił. Zmężniał, rozrósł się, opalił się na wsi; wyrosły mu wąsy. Nie poznałabyś go pani.

— I on by mnie może nie poznał! — szepnęła pani Krzucka w zadumaniu jakby sama do siebie. Oczy jéj zasły jakąś mglistą powłoką.

Wypadało zaprzeczyć, Mieczysław jednakże nie zdobył się na to. Nie wiem o czem myślał, ale wzruszenie pani Margerity widocznie nie uszło jego uwagi. Spozstrzegł je i p. Waleryan.

— Dziecko, dziecko! — zahuczał czuląc się i pocałował żonę w czoło.

— W istocie — rzekł Mieczysław po chwili, niby żartem a jednak z cierpką jakąś w głosie ironią, — kto panią znał dawniej i podziwiał żywość jój temperamentu, zdziwiłby się zmianie usposobienia, tak pani... spoważniała.

— O nie, panie Mieczysławie! — zaprotestował małżonek jakby urażony. — Mylisz się pan! Margosia zawsze taka wesoła i taki trzpiot jak dawniej. To tylko dzisiaj tak. *Mumps, mumps* i nic więcej. Trudno śmiać się jak zęby bolą... prawda Margosiu?

— Prawda, to tylko teraz, to minie — powtórzyła za mężem pani Krzucka i już nie przelatujący obłoczek, ale wyraźne łzy zasłoniły na chwilę źrenicę. Lecz nagle zdobywając się na jakąś nienaturalną energię dodała z niezręcznie udaną wesołością:

— O tak! weselszą jestem i stokroć większy trzpiot jak dawniej... nieprawdaż mężusiu?... Nigdyś mnie pan nie widział tak wesołą panie doktorze jaką teraz bywam... bom tak szczęśliwą nie była jak jestem...

Niezasłonięta część twarzy a potem czoło i skronie oblały się rumieńcem. Na Mieczysława padło spojrzenie pełne wyrzutu i z kokieterią obróciła główkę do pana Waleryana.

— Moja kotko, Margosiu! — czulił się basem pan Waleryan i głosem cmoknięciem na czole swój małżonki zamifestował wdzięczność swoją za daną mu w ten sposób pochwałę.

Pani Margosia zamiast odpowiedzi na tę czułość, poprawiła szal, którym była osłonięta.

— Cóż, bolą cię ząbki, biedaczko, bolą? — użalał się nad nią małżonek, jakby nam chciał usprawiedliwić jój wyraz pełen smutku, tak sprzeczny z zapewnieniem dopiero co wygłoszonym, że jest najszczęśliwszą w świecie.

Pogadanka o fluksyi toczyła się błędnem kołem i widocznie niecierpliwiła panią Margeritę.

— Czy pani zawsze jeszcze tak namiętnie lubi jazdę konną? — zapytałem, chcąc rozmowę skierować na inny przedmiot.

Niespodziewany skutek wywarło to moje niewinne pytanie. Widzialna część twarzy pani Krzuckiej spłonęła rumieńcem a oczy zdradzały jakieś niezwykle pomieszanie.

— Czy panu wiadomo o tem?

— Mąż pani mi mówił...

— Tak, tak, ona lubiła, lubiła — odezwał się pan Waleryan — ale...

— Ale mąż mój nie lubił i wyrzekłam się téj przyjemności na zawsze...

Nowe rumieńce okryły jęj czoło, łzy zabłysnęły w oczach. — Niepojęta rzecz! — pomyślałam, o czemkolwiek zacząć rozmowę, kończy się na łzach i rumieńcach. Widocznie nie przedmiot temu winien, ale inna jakaś nieznaną mi przyczyna.

Szukając rozwiązania téj zagadki spojrzałam na Mieczysława. Wydał mi się dziwnie pomieszany a twarz mu płonęła jakby przy ogniu beagalskim. Czyżby oni rozmawiali z sobą oczyma? Czy biorąc udział w rozmowie z nami o fluksyi i o jeździe konnej, może intonacją głosu, rzutem oczu, równocześnie rozmawiają z sobą wcale o czem innem? Czy może z każdym przedmiotem rozmowy łączą się dla nich drogie jakieś wspomnienia, które im na twarz wywołują rumieńce a z oczu łzy wyciskają?

— W saméj rzeczy... tak, tak, jazda konna — powiedział p. Waleryan — to nie dla kobiet rozrywka... no, tak, trochę, to nie zaszkodzi... ty to tak lubisz! czemubys nie miała jeździć? byle w miarę, byle w miarę!... Ho, bo to Margosia do koni taki zuch!... nie tak jak ta młodzież dzisiejsza... Ta nasza młodzież nie tęga do konia, co nie, to nie! dalipan!... Na paragrafach mój królu, to tak jedziecie *non plus ultra* panie doktorze, ale co munsztuk a co trzęzła, to tam nie wiecie... nie wiecie... ho, ho! Margosia

Nie pomnę co Mieczysław na te zarzuty odpowiedział. Wiem tylko, że w rozmowie brała udział pani Krzucka, natrącając coś o dawniejszem rycerskiem wychowaniu młodzieży

i o dzisiejszem, które nazwała »papierowem«. Mieczysław utyskiwał na zaniedbywanie ćwiczeń fizycznych w naszym systemie wychowawczym, p. Waleryan wyjaśniał mu z wielką znajomością rzeczy stan obecny szkół galicyjskich, a pani Margerita od czasu do czasu dorzuciła do rozmowy jakieś zdanie, zawsze nader trafne a częstokroć nawet tak wytrawne, że niepodobna ją było słuchać i nie podziwiać niezwykłego w jój płci i w jój wieku rozumu i wykształcenia.

Co do mnie, tyle tylko brałem udziału w téj konwersacyi, o ile przyzwoitość tego koniecznie wymagała. Uwaga moja była gdzieindziej, cała zajęta śledzeniem owéj drugiej rozmowy bez słów między dwojgiem młodych ludzi, którój pocziwy pan Waleryan nie zdawał się spostrzegać, a która mnie wielce niepokoiła. Żal mi było zwodzonego, żal mi było również zwodzonych, a że podejrzenia moje były prawdziwe, to stało się już było dla mnie niemal pewnikiem.

Pani Waleryanowa kilkakrotnie wpadała w jakąś zadumę i cuciała się z niéj nagle, w sposób dający tem więcej do myślenia, Mieczysław ciągle był roztargnionym; nie trzeba było psychologa, aby dostrzedz, że mówi o czem innem, a o czem innem myśli.

Wreszcie powstała pani Krzucka z kanapy i pożegnała nas podaniem ręki, usuwając się do swego pokoju. Mieczysławowi poleciła pozdrowić znajomych w Warszawie, a mnie wyraziła nadzieję częstszego widzenia się za powrotem z Wiednia, dokąd jutro rano na dni kilka wyjeżdża z mężem.

— Spodziewam się obaczyć państwa jeszcze jutro, wątpię bowiem, abys pani zdecydowała się wyjechać w takie mrozy, będąc cierpiącą.

— O, wyjedziemy. Musimy wyjechać koniecznie.

— Interesa! ważne interesa!... — zawtórzył basem pan Waleryan.

Znając od dawna pana Waleryana i wszelkie jego stosunki, wiedziałem, iż nigdy do Wiednia nie jeździł i żadnych

tam interesów nie miewał. Do wszystkich zagadek tego dnia przybyła ta nagła podróż za granicę.

Czas i nam już było pożegnać pana Waleryana. Uściśkał nas obu z równą serdecznością, całując kilkakrotnie mnie i Mieczysława, któremu przy tych uściskach starszla-
checkich twarz się rumieńcem oblała, nie wiem czy rumień-
cem wstydu, czy tajonej nienawiści.

IV.

CHMURY.

Wracając do naszego mieszkania milczeliśmy oba, ka-
żdy pod wpływem innego uczucia, lecz oba rozstrojeni. Mie-
czysław rzucił się w fotel, marszczył czoło, gryzł wargi i tar-
gał swoje wąsiki, to znowu kręcił w palcach pukiel swoich
włosów szarpiąc je niemiłosiernie; zakładał nogę na nogę,
lewą na prawą, to znowu prawą na lewą i nie mógł sobie
dobrać dogodnej pozycji. Ja zapaliłem papierosa, stanąłem
w oknie i zacząłem bębnić palcami w szybę, jak człowiek,
który jakąś myśl natrętną zagłuszyć pragnie, lub chce się
wyrwać z bezprzedmiotowej zadumy.

Mieczysław wstał nagle z krzesła, przeszedł się kilka
razy po pokoju szybkim krokiem a potem zbliżył się do
mnie, pochwycił moją dłoń i gorąco ją ściskając patrzył
w oczy jakby żądał dowodu współczucia lub słowa pociechy.
Łzy mu zaświeciły w rzęsach, zasłonił ręką powieki i złożył
czoło na mem ramieniu.

— Ona jest nieszczęśliwą! — wyszeptał stłumionym
głosem.

Nie śmiałem przeczyć. Czułem całą prawdę tych słów.
Żał mi się zrobiło Mieczysława: tyle boleści i rozpacz było

w jego głosie i twarzy, w całej jego postaci. Szanowałem tę boleść i milczałem. Ale tyle tylko uczynić mogłem wobec mych podejrzeń, które coraz wyraźniejsze przybierały kształty.

— Ah, ty nie wiesz — mówił Mieczysław z wzrastającym uczuciem, chwytając się oburącz za głowę, jakby chciał przytłumić w skroniach gwałtownie bijące tętna — ty nie wiesz co się we mnie dzieje! Ty pojąć nie zdołasz co się we mnie działo widząc te jój oczy pełne łez, ten smutek głęboki na czole!... Ona, ona, niegdyś jak dziecko wesoła, jak ptaszę swobodna! Trzeba ją było znać wprzód, aby osądzić, jaka straszna zaszła zmiana, jaka przepaść dzieli jój przeszłość od terażniejszości!... Gdyby tu choć miała kogo ze swoich! Gdybym ja tu mógł być!... Gdyby choć jedna dusza pokrewna, któraby ją rozumiała, przed którąby zwierzyć się mogła i wyplakać! Byłoby jój lżej! Ale przykuta do tego starego bałwana... oh, to nikczemnik!...

— Mieczysławie — przerwałem surowo — przestań. Wiesz, że Waleryana poważam i kocham. Nie chcę, abyś tak o nim mówił, nawet w szale... bo nie masz prawa do tego. Jesteś w gorączce. Stan twój może wiele tłumaczyć i niejedno przebaczyć ci można... ale wszystko ma swoje granice.

Mieczysław skrzyżował ramiona na piersi i słuchał z szydrczym uśmiechem.

— Krzucki — mówiłem dalej — ma swoje śmieszności. Być może, że zrobił niedorzeczność żeniąc się w swoim wieku z młodą dziewczęciem, ale nie nadaje to jeszcze nikomu prawa zwać go bałwanem, a tem mniej nikczemnikiem. Mimo swoich śmieszności jest on perłą obywatelstwa w swojej okolicy. Obyśmy tu takich »bałwanów« wielu mieli między szlachtą wiejską w Galicyi! To człowiek trzeźwego zdania, zdrowych poglądów, a przytem człowiek z poświęceniem. Prawy obywatel... a nie wątpię, że i dobry mąż... A donisem być już nie potrafi, ale jestem pewny, że dla żony jest najdelikatniejszym, najwyrozumialszym, że ją kocha całą

miłością, na jaką się zdobyć może, a nawet... że jest pod pantoflem.

— Cha, cha, cha! trzeba się było przypatrzeć jaka ona szczęśliwa!

— Szczęśliwa, nieszczęśliwa, to są rzeczy względne. Kobiety, którym los niczego nie poskąpił, czują się czasem nieszczęśliwymi dla jakiejś błahéj przyczyny, której usunąć nie podobna. Nieszczęście ich nie leży poza niemi, ale jest w nich samych, w tych czarnych szklach, przez które patrzą na świat i na siebie. Bywają zachcenia, którym i bogowie zadośćuczynić nie mogą, bo są niedorzeczne...

— Tak, tak! — przerwał z ironią Mieczysław. — Kobieta to istota kapryśna, tak nisko stojąca, że nawet osądzić nie jest w stanie, czy jest nieszczęśliwą. Niech jéj serce się krwawi sto razy na dzień, niech tonie w smutku i we łzach przez całe życie i usycha jak kwiat bez słońca, to ty jéj powiesz, albo drugi taki filozof jak ty, że tym łzom i smutkom winny tylko jéj mylne wyobrażenia i że ona jest szczęśliwa!

— Nie przesadzaj! Nie twierdziłem tego, co mi zarzucasz, powiedziałem tylko, że niejedna kobieta posiada wszelkie zewnętrzne warunki szczęścia, a czuje się nieszczęśliwą jedynie z powodu spaczonych wyobrażeń i znarowionych uczuć... To samo i o mężczyznach powiedzieć można. Nie stawiam ich bynajmniej wyżej od kobiet w téj mierze...

— A więc pani Krzucka jest szczęśliwą według ciebie?

— Nie wiem, bo ją znam za mało. To, że dziś smutną była, to jeszcze nie dowodzi, aby codziennie smutną być miała. Któraż rozsądna kobieta, która zastanawiała się nad sobą, nie przyzna ci, iż miewa dni, w których skłonna jest do łez sama niewiedząc czemu? Osoby nerwowe, a każda kobieta wyższego towarzystwa w XIX wieku jest nerwową, miewają napady bezprzedmiotowego smutku, który czasem nawet już i za zmianą pogody ustępuje.

— A więc to według ciebie tylko mrozy silne, albo fluksya, albo co podobnego wpłynęło chwilowo na jéj uspo-

sobienie? Osoba z takim jak ona smutkiem wrytym na twarzy może jutro lub pojutrze będzie najszczęśliwszą i najweselszą z kobiet?... Ty tego nie myślisz, ty tego nie możesz myśleć!

Czułem się zwyciężonym. Mieczysław miał słuszość. W samej rzeczy smutek rysujący się na twarzy pani Krzuckiej, nie dopuszczał domysłu błahej jakiegó przyczyny. Brakło mi odpowiedzi na pytanie Mieczysława, odrzekłem tedy szorstko:

— Na co nam tych dociekań! Jeśli pani Krzucka istotnie czuje się nieszczęśliwą, ty niezawodnie wiesz o tem lepiej odemnie. Chybabym trzech zliczyć nie umiał, aby o tem wątpić. Ale jeśli sądzisz, że wiesz dlaczego jest nieszczęśliwą, to się mylisz...

— Jakto?

— Sądzisz, że przyczyną jest mąż... a przyczyną jest to właśnie, że nie umiała zerwać z przeszłością...

— Nie rozumiem!

— Nie umiała zerwać z przeszłością... a ty ję zerwać nie dajesz. Gdyby nie ty, stałaby się szczęśliwą, jeżeli jest kobietą serca, która poczciwość i przywiązanie męża ocenić potrafi. Ty sam rozbijasz ję szczęście i ję spokój zamącasz, podniecając uczucie, któremu należało dać zamrzeć... Czas byłby zagoił ranę, a ty...

Przypadł ku mnie Mieczysław w najwyższem rozdrażnieniu i chwytając za ramiona wstrząsnął jakby chciał ze snu obudzić.

— Śni ci się?... Co ci się śni!... Przeszłość?... Ależ między nami oprócz serdecznej przyjaźni nigdy nic nie było! Czyż ci nie mówiłem!... Ty sądzisz, że ona mnie kocha? Oh, gdyby tak było!... Ale ja? że ja ją kocham?... to i cóż z tego! Kocham; kocham całą siłą duszy! Ale jam ję tego nigdy nie powiedział; mógłbym rzec nieledwie, że jam ję tego nigdy nie dał poznać!... Nie zapieram się: kocham,

kocham, szaleję!... Więc ty sądzisz, że i ona... och, gdyby to prawda była!... byłbym najszczęśliwszy z ludzi!

Zakrył twarz rękoma i zapłakał spazmatycznym łkaniem. Przyszła kolej na mnie cucić go ze snu.

— Mieczysławie! dziecko jesteś!... Jeżeli cię kochała nie mógłbyś, nie powinienbyś się tem cieszyć. Mówiłeś mi dopiero, żeś dotąd jój spokoju niczem nie zamącił, a teraz to pragniesz swoją miłością zamącić ten spokój?...

Spazmy przeszły w śmiech szalony.

— Jój spokój! chachacha! jój spokój! spokój jój domowego pożycia!... jój domowe szczęście!... to śmieszne, to bardzo śmieszne!... chachacha... chachacha...

Wzruszyłem ramionami i zamilkłem. Mieczysław śmiał się chodząc po pokoju i tak jak ja ramionami wzruszał, jakby największą z ust mych usłyszał nedorzecznosc.

Wyjąłem z kufierka jakąś książkę i otworzywszy ją na oślep, zacząłem czytać.

Naśmiawszy się do woli, po kilku minutach swój wędrówki od kąta do kąta, Mieczysław zwolnił kroku, nalał w szklanke wody i wypił ją duszkiem, westchnął parę razy a wreszcie przystąpił do żwierciadła i przyczesał rozczochrane włosy.

— Mieczysławie! — rzekłem do niego, widząc, że już się zupełnie uspokoił. — Nie bierz mi za złe moich przyjacielskich uwag. Wszak wiesz, że cię kocham...

Podał mi rękę i uściśnął.

— Posłuchaj mnie — mówiłem dalej. — Nie mówmy już o Krzuckim, ale o niej. Mało ją znam, ale ile znam to wystarcza, abym miał szczere dla niej współczucie. Żał mi téj kobiety. Przypuszczam, że jest nieszczęśliwą...

— Aa, przecież!

— Ale jeżeli nią jest, to wierzaj mi, pocieszyciel, któryby stanął między nią a jój mężem, uczyniłby ją stokroć nieszczęśliwszą!

Mieczysław wysunął rękę swoją z méj dłoni.

— Wierzaj mi, — mówiłem dalej — gdyby cię pokochała... wiedząc, że twoją być nie może, czułaby podwójnie ciężar swoich kajdanów. Życie jęj stałoby się nieprzerwaną katuszą... To kobieta szlachetna, pełna uczucia obowiązku i uczucia godności własnej! Jąby zabijała ta myśl, że kocha kogoś, kogo jęj kochać nie wolno... Nie mów mi, że chcesz być tylko przyjacielem, że poprzestaniesz na przyjaźni! Ty przyjacielem być niepotrafisz dla nięj. Przyjaciel, który jęj męza nazywać będzie tak jak ty go nazwałeś nikczemnikiem, taki przyjaciel niebezpieczniejszy od wroga!...

Mieczysław dawał znaki zniecierpliwienia.

— Czy myślisz, — rzekłem z naciskiem — że uczucie złamanęj wiary nie odezwałoby się wyrzutami w jęj duszy? Nazwiesz to może przesądem? Pamiętaj, że tego przesądu żadnęj ucziwęj kobiecie z serca nie wykorzenisz. Dla takięj kobiety jak ona, taki »przesąd« to trucizna działająca zwolna, ale zabójczo od pierwszęj chwili, w któręjby się występna uczuła...

Mieczysław machnął ręką z lekceważeniem:

— Kaznodzieja z ciebie znakomity, szkoda że nie jesteś księdzem.

— Nie mówię jak ksiądz, ale mówię jako twój... i jako jęj przyjaciel...

— A no! chcesz być jęj przyjacielem, to pozwól abym i ja nim był.

— Ale taka przyjaźń jak moja nie odbiera dobręj sławy, ale ją ocala... A czy myślisz, że przed światem przyjaźń tego rodzaju, jak twoja, długo może pozostać w ukryciu? że mąż się nie spostrzeże? O, na to nie licz. Cóż wtedy? Czy katastrofa, któraby w takim razie nastąpiła, nie byłaby dla nięj zabójczym ciosem?

Mieczysław spojrział na zegarek.

— Już w pół do drugięj, — rzekł biorąc za kapelusz. Pójdiesz na obiad?

Zamiast odpowiedzi pochwyliłem napowrót książkę leżącą na stole i zacząłem czytać.

— Nie idziesz? A no, to do widzenia!

Zarzucił burkę na ramiona i wyszedł.

— Nad domem Krzuckich ściągają się chmury, — pomyślałem. Trzebaby je rozpędzić póki czas jeszcze. Ale jak?

V.

W RESTAURACYI.

Szalejący z miłości Mieczysław, mimo gwałtownego bicia serca, usłuchał trzeźwego zdania swego apetytu, który mu kazał iść na obiad. Nie dziw tedy, że i ja także, aczkolwiek stroskany o zagrożone szczęście domowe pana Waleryana, uległem naleganiu żołądka — dopominającego się o swe prawa.

W restauracyi spotkałem starego znajomego, a bliskiego sąsiada pp. Krzuckich, pana Krzysztofa * * *, który mnie stereotypowem przywitał pytaniem: czy dawno, czy na długo i w jakim interesie przyjechałem do Krakowa.

Opowiedziałem mu tedy o interesie mojej ciotki i o odbytej już konferencyi z p. Waleryanem.

— A panią Waleryanową widziałeś? — zapytał. Ależ to kobieta! jak Wenus! jak Madonna!

— Ej, ej, panie Krzysztofie! Wenus i Madonna! Cóż to, czy i pan w niej także zakochany?

— Jakto: także? Któż to się w niej zakochał?

— No... cały świat. I nie dziwię się. Ale pan, pan! Ojciec dzieciom! Ej, powiem to pani dobrodziejce...

— Nie uwierzy. Jużem za stary.

— Ba, pan Waleryan starszy.

— Głupstwo zrobił. Będzie tego kiedyś żałował.

— Jakto? czy się na to zanosi?

— No, dotąd niby nie. Kochają się jak gołąbki. Ale czy to długo potrwa?... W domu u nich gości zawsze pełno jak w ulu — a taka chichotka, taki trzpiot jak ona, i z takim rozumkiem.... hm, hm, hm! — i pokręcił pan Krzysztof głową.

— Jakto? chichotka? trzpiot?

— A! — wykrzyknął zdziwiony mém pytaniem pan Krzysztof. Dość ją przecie raz widzieć w życiu, aby wiedzieć dlaczego ją tak nazwałem. Wszak to śmieszek chodzący, figlarka pusta jak student na wakacyach! W życiu niespotkałem weselszej istoty...

— I zawsze taka?

— Ale zawsze!... Wyjątek chyba kiedy ma migrenę: wtedy tnie jak osa i lada czego we łzach się rozplywa. Czy widziałeś ją może w złym humorze?

— Tak, dość. Była smutną. Słyszałem już tyle o jej wesołości, że widząc ją dziś po raz pierwszy — zupełnie ją inną znalazłem, niż się spodziewałem.

— Smutna? to dziwne. Niezawodnie migrena.

— Fluksja.

— A no, to jej nie znasz, jeśli ją widziałeś w złym humorze i ze spuchniętą twarzą. Byłem u nich w Kuma-kowcach niespełna temu trzy tygodnie. Co też ona wyprawiała za psoty!... Była właśnie na wyjeźdném do siostry swego męża — w Tarnowskiém...

— Aa, do pani Balbiny. To podobno w sąsiedztwie Sabałówki?

Pobył Mieczysława w tym majątku jego wuja przyszedł mi na myśl.

— Pół ćwierci mili. Otóż wyobraź sobie, ubrała się w ogromną futrzaną czapkę Waleryana... a musisz wiedzieć że lubi ekscentryczne takie trawestacye...

— A wiem. I dziś jak odaliska z seraju...

— O kim to panowie mówicie? — przerwał nowy gość przybyły na obiad, wspólny nasz znajomy, p. Edmund.

— O pani Krzuckiej.

— Ach, słyszałem! co za nieszczęście!

— Cóż takiego?

— Jakto, niewiecie? Przed kilkoma dniami spadła z konia na głowę i dotąd jest ciągle bezprzytomną. Czaszka podobno pękła. Doktor Apfelgold miał pisać, że nie ma już nadziei ocalenia... Biedna kobieta! pewnie umrze!

— Kto? kto taki? kto umrze? kto spadł z konia? — zapytał znowu świeży gość, pan Jan, zbliżając się do naszego stolika.

— Sąsiadka twoja, pani Waleryanowa! — wyjaśnił p. Edmund.

— To bajki! — zaprzeczył p. Jan. — Przyjechali właśnie oboje do Krakowa, mieszkają w Saskim hotelu. Ale... wiecie co?... nie zgadlibyście! oto: rozwodzą się już...

— Bądźcie panowie zdrowi! — rzekłem biorąc za kapelusz i pozostawiłem panu Krzysztofowi przyjemność prostowania tych pogłosek.

VI.

TAJEMNICA.

Załatwiłem w mieście sprawunki zlecone mi przez ciotkę, odwiedziłem kilku przyjaciół a czas mi tak szybko uleciał, że było już pewnie po dziesiątej gdy powracałem do hotelu. Gęsta mgła zaległa ulice, i świetlaną aureolą otoczyła każdy płomyczek latarni. Idąc tak otulony futrem, porządkowałem w myśli me własne spostrzeżenia o pani Krzuckiej, zrobione w ciągu wizyty, i zestawiałem je z tém wszystkiém,

co o niej słyszałem od Waleryana i od Mieczysława i co świeżo dowiedziałem się od p. Krzysztofa. Chciałem na podstawie tego bilansu dojść do rozwiązania zagadki:

— Kocha — czy nie kocha? winna czy nie winna?

Łzy w jej oczach i smutek na czole? To nie świadczy aby się czuła szczęśliwą i aby zadowoloną była z wyboru małżonka.

Ale p. Krzysztof twierdzi, że nie zna weselszej od niej kobiety — i opowiada, że jeszcze przed dwoma tygodniami widział ją swywołaną jak studenta na wakacjach.

Czyżby od tego czasu taka zaszła zmiana?

Trudno to przypuścić.

A jednak — ta jej wycieczka w Tarnowskie? majątek pani Balbiny, do której jeździła w odwiedziny (i to w tej porze roku tak niesposobnej do wycieczek!), majątek ten leży tuż w sąsiedztwie Sabałówki, gdzie przebywał Mieczysław u swego wuja. Mieczysław niezawodnie jeździł z wujem z wizytami po całej okolicy, tém bardziej, że p. Dezydery stary kawaler, ma manię swatania każdego młodzieńca, który mu się do rąk nawinie. A w tym okręgu panien na wydaniu nie mało.

Niezawodnie się tam widzieli! Przypomnieli sobie dawne lata, szczęśliwsze czasy, marzenia i nadzieje pierwszej młodości, a z wspomnieniami odżyły dawne uczucia. Któż wie, jaki wprzód między nimi istniał stosunek? Mieczysław nazwał to »dziecięcą... przyjaźnią«, ale któż wie, czy chciał rzeczy nazwać po imieniu?

Smutek i łzy — to tedy zapewne rzecz nowa, od widzenia się w Tarnowskim powstała.

Ale p. Krzysztof powiada, że Krzuccy »kochają się jak gołąbki« i że pani Małgorzata zawsze we łzach tonie ile razy ma migrenę. A więc to może migrena albo mumps tych łez powodem? Kto wie, może jutro lub pojutrze wszystko przedstawi się w inném świetle?

Ale te jój rumieńce rozkwitające za każdym prawie spojrzeniem Mieczysława? To już nie mumps! —

I znowu zacząłem przypominać sobie, jakie to przedmioty rozmowy wywoływały rumieńce na twarzy p. Krzuckiej.

Przedstawienie mężowi przyjaciela z lat dziecinnych? Tu rumieniec rozumiały i niekompromitujący.

Zarumieniła się mówiąc, że jest szczęśliwą, szczęśliwszą niż dawniej... To całkiem naturalne.

A rumieniec przy méj wzmiance o konnej jeździe?... Prawdę mówiąc, to i tu całkiem rozumiały jój rumieniec. Lubi ją namiętnie, a wyrzekła się téj przyjemności dla męża. Każda inna kobieta mówiąc o tem, byłaby się także zarumieniła.

Przywidzenia! przywidzenia! — zakonkludowałem. Pani Krzuckiej nie marzy się o Mieczysławie. Ona kocha szpakowatego »mężusia« swego.

A wreszcie, przecież pan Waleryan nie ślepy. Gdyby Mieczysław był dla niego niebezpiecznym, wiedziałby on o tem dobrze.

A jednak... cóż znaczyło to dziwne jego zachowanie się w obec Mieczysława na schodach, po poznaniu się z nim? I to jeszcze dziwniejsze przyjęcie na początku naszej wizyty aż do zjawienia się pani Małgorzaty? Miałżeby nie dośłyszeć jego imienia, gdy mu go przedstawiałem? —

Zagłębiony w tych myślach wyszedłem na schody i idąc wązkim kurytarzem o mało nie minąłem piątych drzwi na lewo. Szwajcar otwierając mi bramę hotelu, powiedział, że klucz mojej stancyi jest na górze i w samej rzeczy klucz był we drzwiach.

— Mieczysław po przebytych gwałtownych wrażeniach może już spać się położył, — pomyślałem. Spojrzałem przez dziurkę od klucza — ciemno. Pewnie śpi.

Otworzyłem tedy drzwi jak mogłem najciszej i na palcach wszedłem do mego pokoju. Światło bijące od latarni po przeciwnéj stronie ulicy, dozwoliło mi dostrzedz, że drzwi między moim pokojem a pokojem Mieczysława były na wpół przetwarte.

Złożyłem futro na poręczu krzesła, a usiadłszy w fotelu... (czytelnik daruje, że w interesie prawdy będę zupełnie szczerym, pomijając poniekąd względy estetyczne) otóż usiadłszy w fotelu ściągnąłem buty — niezbyt wygodne, do których nagniotki moje osobliwszą miały antypatyę.

Mem zdaniem, wieczorna chwila, następująca po zrzućeniu obuwia, należy zawsze do miłszych chwil w życiu. Palce nóg czując się wolnemi od ugniatających więzów, korzystają z swęj wolności i próbują czy jeszcze ruszać się nie zapomniały. Podnoszą się dumnie do góry i zginają potem ku podszwom, to znowu starają się rozsunać i pooddalać tak od siebie, aby jeden drugiego nie dotykał, co im się jednak rzadko udaje.

Takim to wieczornym egzercycom gimnastyki szwedzkie, oddawały się z prawdziwą rozkoszą palce moich nóg, podczas gdy ja, przeciągając się jak najrozkoszniej, ziewnąłem kilka razy i zacząłem uwalniać guziki mego ubrania z namiętnych uścisków ich pętelek... jeden, drugi... dziesiąty...

Nie ma w tem nic nieprzyzwoitego: Szanowna czytelniczko czytaj dalej bez obawy. — *Naturalia non sunt turpia*, a rozbieranie się jest zaiste rzeczą nietylko powszechnym uświęconą obyczajem, ale co więćej rzeczą arcynaturalną i nawet nieuniknioną. Nic takiego nie powiedziałem i nie powiem czembym mógł kogo zgorszyć. Wszak i tak już niestety wiadomem to było i najskromniejszej z czytelniczek, że nikt w ubraniu nie włazi pod kołdrę.

A zatem powtarzam jeszcze raz: guzik — jeden, drugi trzeci... dziesiąty... jedenasty...

Wtem... zdawało mi się, że słyszę w drugim pokoju jakiś szmer. Nicby w tem nie było nadzwyczajnego i nie byłoby zwróciło mojęj uwagi, — ale w rodzaju tego szmeru było coś niezwykłego, zagadkowego. Było to bowiem coś podobnego do szmeru jedwabnej sukni — a suknia jedwabna każe zawsze przypuszczać obecność osoby *generis feminini*.

Nadstawiłem więc ucha — i znowu toż samo. Wkrótce

potem krząknięcie... nie, to nie krząknięcie męskiej piersi i męskiego gardziela. Co to być może? O — panie Mieczysławie! — pomyślałem, takąż to ta twoja miłość...

Pomyślałem — ale nie miałem czasu wysnuć myśli do końca. Przerwało mi westchnienie... I znowu... i jeszcze westchnienie — a potem ledwie dosłyszalne, ale z niewymownym żalem wypowiedziane wyrazy:

— O Boże, Boże!...

Któżby to był? To jakaś nie codzienna miłostka, — takim głosem nie wzdychają osoby z półświatka.

Czy ona tam sama? Cóż mnie czynić wypada? Czy zerwać się z fotelu i co prędzej przymknąć drzwi przetwarte? Wszedłem tak cicho do pokoju, ona... czy oni?... pewnie nie wiedzą o mojej obecności.

Wahałem się nie zdecydowany, gdy wtem rozległ się hałas spiesnych kroków na kurytarzu i pochwycił ktoś za klamkę do pokoju Mieczysława. Stukające obcasy i śmiałe szarpnięcie klamką nie dozwalało wątpić, że wchodzącym był mężczyzna. Po szybkim chodzie poznałem Mieczysława.

Drzwi zastał zamknięte na klucz. Niewiasta w jedwabnej sukni zerwała się copędzej z siedzenia i jednym skokiem już była u drzwi. Odsunęła zasuwkę, mężczyzna wszedł do pokoju.

— Już byłem niespokojna o ciebie!... zadzwonił dźwięczny głosik kobiecy.

Czyj to głos? Ten głos tak mi gdzieś znany!

Całą odpowiedzią Mieczysława był głośny całus. Poczem słyszałem jak rzucił futro na kanapę, a laskę postawił przy ścianie.

— Cóż? jedziemy? — pytała dalej niewiasta i dodała tonem błagalnym:

— Jedźmy mój drogi! jedźmy!

Znowu całus w odpowiedzi.

Czy mi się śni? Wszak ten głos tak mi znany, to głos pani Krzuckiej!

O zgrozo!... Ona u niego i chcą uciekać oboje!

Biedny Waleryanie! — pomyślałem, oburzony do żywego na Mieczysława. — A jacy nieostrożni! Drzwi nawet nie przymknęli! Niewiedzą, że tu jest świadek... Czy może nie chcą taić się przedemną? Chcą, abym wbrew méj woli stał się niby przypadkowo ich powiernikiem, sprzymierzeńcem? Ah, tego już za wiele!... Ale cóż ja mam robić? Przeszkodzić wszystkiemu?... Czy warto jeszcze! Rzeczy zaszły tak daleko... cóż przyjdzie Waleryanowi z takiej żony: nie dziś, to jutro!...

Tysiące podobnych myśli przemykało mi przez głowę, jak błyskawice.

Wtem usłyszałem szelest potartéj o pudełko zapalki i błysło niebieskawe światło w drugim pokoju.

— Nie — nie zapalaj świecy! — mówiła p. Krzucka ze smutkiem. — Nie chcę abyś się patrzył na mnie!... Nawet kiedy sama jestem w pokoju, to wolę siedzieć po ciemku... Wstyd mi siebie saméj!

Reszta słów utonęła w głośnem szlochaniu.

Światła jednak nie zgaszono. Natomiast usłyszałem dobrze mi znany basowy głos:

— Dziecko jesteś Margosiu! dziecko!

Był to głos pana Waleryana.

Co to znaczy? A więc ona nie z Mieczysławem ale z mężem? Cóż oni robią w pokoju Mieczysława? Aaa!...

Aaaa... i całej nagle domyśliłem się tajemnicy.

Pięte drzwi na lewo w kurytarzu — ale na drugiem a nie na pierwszém piętrze jest mój pokój.

A ja zaszedłem na pierwsze!

Ten sam rozkład w pokoju, to samo umeblowanie, wszystko jednakie! Fatalnie!

Co teraz robić?... Zrzuciłem buty... toaleta moja w zupełnym już nieporządku... jestem tu już tak dawno... mąż nie wie jak i kiedy się tu dostałem... ona nie każe

mu świecy zapalać... Co on sobie pomyśli?... Stary mąż zawsze zazdrosny i podejrzliwy... Co robić? co robić?...

Rozpacz mnie się czepiała.

I znowu pomyślałem; Jaktó! czyż poczuwam się do jakiej winy? Powiem całą prawdę, wyjaśnię rzecz — i koniec!

— Nie... nie można. Siedzę tu już tak dawno, miałem dość czasu spostrzedz, że nie jestem u siebie. -- Nie uwierzą...

— Mamże im powiedzieć jakie podejrzenie utrzymywało mnie tak długo w fatalnym mniemaniu, że u siebie jestem? Waleryana głos wprawdzie dopiero teraz usłyszałem, bo się wprzód nie odzywał, ale ona... ona... Jakże się wytłumaczę, że słysząc jój głos, nie spostrzegłem jednak mojej omyłki?

— Zamanifestować teraz dopiero moją obecność, gdy się podsłuchało jakąś tajemnicę małżeńską?... Niepodobna!

I brzmiały w mój pamięci jój wyrazy: »Nie chcę abyś się patrzył na mnie... wstyd mi siebie samój!...«

A pani Krzucka mówiła dalej:

— Nie patrz się na mnie!... O, tyś poczciwy! tyś najlepszy w świecie! ale kiedy się na mnie patrzysz, to ja czytam w twych oczach, jaki masz żal do mnie! Mówiłeś! przestrzegałeś!... Zanadto sobie zaufała!...

— Ha! — westchnął pan Waleryan z rezygnacją.

Pani Krzucka płakała.

— Moje dziecko! któż się mógł spodziewać! Cóżes ty temu winna.

— Winnam! winna! — wyjąkała przez łzy.

— Nie, nie, nie ty. Któż mógł wiedzieć, że on taki... oh, miałbym ochotę w łeb mu pałać!

Ku wielkiemu memu zdziwieniu — żadnej na tę pogroźkę nie było odpowiedzi ani protestu. Śnać znając dobrze swego małżonka, musiała pani Krzucka być pewną, że do wykonania téj groźby nie przystąpi.

— Wszak prawda? jedziemy jutro? — rzekła po chwili.

Ty masz tu tylu znajomych... odwiedzają nas... pytają się... oh, ty nie wiesz ile mnie kosztuje każda taka wizyta! Śmiać się, udawać wesołą .. kiedy mi łyzy się do ócz cisną... oh, to męka!... Grać komedią z taką dręczącą tajemnicą w sercu...

Ach, byle się teraz sama tylko do reszty nie wygadała! pomyślałem. Jak się jeszcze i téj tajemnicy dowiem — cóż ja z sobą pocznę!

— Ale nie bój się moje dziecko, nie bój! — odezwał się pan Waleryan. — Wszak nikt o tém nie wie i wiedzieć nie będzie, nie będzie... Nikomu to nie w głowie...

I dodał śmiejąc się:

— Cezar przecież nie wygada!

— Ach, nie mów tego! Plotka tak łątwo się rozejdzie... Ot, i dzisiaj, ten twój przyjaciel — tak mi się przypatrywał! Takiemi oczyma! On chyba coś wie!...

Ten »przyjaciel«, o którym mówiła — to pewnie ja! Poty na mnie były. Chciałbym się być pod ziemię schować.

— O, jabym umarła ze wstydu, gdyby się świat dowiedział!

— Margosiu, fe! Własnego cienia się boisz.

— Ach, prawda!

— Nie wie nikt i nie będzie wiedział. Bądź spokojna. Przecież i mnie na tém coś zależy...

Tu pan Waleryan zbliżył się ku drzwiom drugiego pokoju...

Co ja z sobą pocznę? gdzie ja się podzieję nieszczęsny? Ach, gdybyż to stać się niewidzialnym!

Udam śpiącego! Tak, to będzie najlepiej. Jak tu wejdzie, udam żem się ze snu przebudził, że nic nie słyszałem, zadziwię się, żem ja nie u siebie... Tak, to jedyny środek jaki mi jeszcze pozostał...

Pan Waleryan chodził szerokimi krokami po pokoju żony. Ile razy się zbliżał do drzwi w pół przetwartych, strach mnie jakiś przejmował, jakby zbrodniarza złapanego

na gorącym uczynku. Trzęśtem się jak w febrze. To krew uderzała mi do głowy jak w parni, to znowu zdawało mi się że mi zimno. Ścisnęło mnie coś za gardło i łechtało do kaszlu. Całą siłą woli wstrzymywać się musiałem od chrząknięcia. .

— A Jagusia? nie wygada się? — zapytał pan Waleryan po dłuższej pauzie.

— Podwoiłam jój pensję.

I znowu pauza. Pan Waleryan stanął we drzwiach i na progu się zatrzymał. Zdawało mi się, że słyszę jak mi serce gwałtownie uderza.

— No dziecko! Już późno. Idź spać, jeżeli mamy jutro rano jechać. A nie płacz, nie martw się!... Co się stało, to się stało! Zapomnij o tém... Jeszcze wszystko będzie dobrze!...

— Eh, to już nie to!... to co było już się nie wróci, nigdy! nigdy! już się nie odstanie!... oh, wolałabym była umrzeć!...

— Grzech, grzech Margosiu tak mówić! Powiadam ci, że wszystko jeszcze będzie dobrze... Nikt wiedzieć o tém nie będzie i my sami zapomnimy!

Do wszystkich moich kłopotów przybył w téj chwili jeszcze nowy. Zebrało mi się na kichanie. Byłem na torturach!...

— Zapomnieć?... O, o tém zapomnieć nie można! — mówiła z tragiczną intonacją pani Krzucka. Ile razy spojrzysz na mnie mężusiu — to ci się ta myśl nasunie! Ja o tém wiem... i to mnie zabija!...

— Marguś! Marguś!

— Ty pocziwy, ty mi tego nie będziesz wymawiał, ty mi o tém nigdy nie wspomnisz, ale...

Reszta słów zmięszała się z łkaniem.

— Moja Margosiu... miejże rozum!... Margosieczko! perswadował pan Waleryan.

— I cóż z tego?... choćby nikt nie wiedział, to ty

wiedzieć będziesz, a na cóż dla mnie większego nieszczęścia! Oh, wolałabym nie żyć...

Ach jakaż męka! Nie uwierzysz łaskawy Czytelniku, jak mi się chciało kichnąć w téj chwili! Tarłem nos ręką, jakbym go odmroził, ale jakoś to nie uspakajało jego zachcenia. Panu Waleryanowi zebrało się na całusy. Usłyszałem głośne cmoknięcie.

— Ależ Margosiu, nie płacz! Nie będę o tem myśleć, jak cię Kocham! Tyś dla mnie zawsze ta sama i ani o włos cię teraz mnień nie Kocham...

Znowu cmoknięcie — jakby kto szczelnie zakorkowaną butelkę otworzył. Ach, jakże mi w nosie kręciło, jakby po bernardyńskiej szczypcie Albanki!

— Nie, nie całuj mnie mój drogi!... Cóż ci z tego, że mnie całujesz! Ty mnie taką Kochać już nie możesz!...

— Ale ko....

W téj chwili kichnąłem!

Wśród ciszy nocnej odgłos mego kichnięcia rozległ się jak strzał pistoletowy. Długo wstrzymywane, z podwójną huknęło siłą.

Nie myśląc wiele, jedym skokiem byłem już za drzwiami. Futro i buty zostały w pokoju.

Zatraskując drzwi za sobą, usłyszałem jeszcze krzyk pani Krzuckiej i groźne basowe »kto tam?« Waleryana.

Rzuciłem się na oślep kurytarzem, jak ten co przed niechybną śmiercią ucieka.

W pierwszym jednak czy drugim poskoku uderzyłem pierściami o jakąś przeszkodę tak silnie, że aż w nich coś odjękło jak struna zerwana w fortepianie. Odskoczyłem niby piłka elastyczna w tył o dwa kroki.

Przedmiot potrącony zachwiał się. Podniosłem głowę: przedemną stał Mieczysław. Najwyższe zdziwienie malowało się na jego twarzy. Widział niezawodnie z kąd wybiegłem w ten sposób.

— Ty?... zawołał mierząc mię oczyma i patrząc na moje białe bawełniane obuwie.

— Co tu robisz? — zapytałem, nie wiedząc co powiedzieć. I chciałem zemknąć nie czekając odpowiedzi. Mieczysław mnie zatrzymał.

— Co to jest? Co to znaczy? — pytał raz po raz, dziwnie przerażony, ściskając mi ramiona żyłastymi dłońmi.

— Puść mnie! na Boga puść mnie! — błagałem, usiłując wyrwać się z tych kleszczów.

Mieczysław nie puszczał. Przy świetle latarni, która wisiała w tém miejscu, widziałem jak mu drżą wargi. Wlepił we mnie wzrok, jakby chciał nim prześwidrować mnie na wylot.

— Co to jest? Co to znaczy? — pytał coraz głośniej, domagając się odpowiedzi. Palce, które wpoił we mnie, drgały jak w konwulsjach.

— Powiem ci wszystko... ale puść! jeżeli ją kochasz Chodź, chodź!... Ale prędko!...

Zwolniały ręce Mieczysława. Puściłem się pędem na przód, on za mną...

Dobiegliśmy do końca kurytarza i zwrócili się na lewo, gdym usłyszał otwierające się drzwi pokoju państwa Krzuczych. Waleryan nie dostrzegł mnie. Zdaje mi się, że i Mieczysława już nie mógł dostrzedz. Umknęliśmy szczęśliwie.

Pędząc po schodach na drugie piętro, minęliśmy jakieś dwie panie, które na widok mego kostiumu głośnym wybuchły śmiechem.

Była to panna Katarzyna C. z swoją ciotką. Tak, niestety! panna Katarzyna!

VII.

MIECZYŚLAW I CEZAR.

Kto była panna Katarzyna — to nie należy do niniejszego opowiadania. Powiem tylko, że w tym dniu feralnym i na owych schodach rozstrzygnął się mój los... Jestem dotąd starym kawalerem, łaskawa Czytelniczko!

Skłopotany i zawstydzony fatalną sceną przebytą w pokoju państwa Krzuckich, której mnie nabawiło moje roztargnienie, zraniony boleśnie śmiechem panny Katarzyny (jeszcze go słyszę w tej chwili!), wpadłem do naszego mieszkania jak desperat i załamane ręce.

— Cóż się stało? mów! — domagał się natarczywie Mieczysław.

Rzecz wymagała obszernego wyluszczenia a ja nie mogłem się zdobyć na słowo.

— Nic, nic! — zawołałem wreszcie z wysileniem — nikomu nic, tylko mnie!...

Przypomniałem sobie w tej chwili moje futro i buty zostawione w pokoju pp. Krzuckich. Należało starać się wy dostać je ztamtąd jakim trafnym sposobem, nieobudzającym podejrzenia. Szarpnąłem co siły za taśmę od dzwonka.

Taśma była urwana i spadła za szarpnięciem, drut wiodący do dzwonka ani się ruszył.

— Mieczysławie! — zawołałem — na miłość boską! zbiegnij co żywo na dół i zawołaj kelnera. Ja nie mogę.

I pokazałem mu nogi moje w bawełnianem ubraniu.

Mieczysław zniecierpliwiony wzruszył ramionami i stał na miejscu.

— Powiedźże mi już raz, co to wszystko znaczy!

— Powiem! powiem, ale zlituj się i zawołaj kelnera. Każda chwila droga!... Zaklinam cię!...

Mieczysław ani się ruszył.

— O nią idzie! — dodałem z naciskiem jako *argumentum ad hominem*. — Szczególnym wypadkiem, najniewinniej byłaby skompromitowaną... Przysięgam ci na honor. Na wszystko co ci święte, zaklinam cię, idź!...

Spojrzał mi w oczy z niedowierzaniem i wybiegł.

W niespokojnem oczekiwaniu każda minuta zdawała mi się godziną. Zmierzyłem pokój kilka razy spiesznemi krokami i rzuciłem się na łóżko.

Przesunęła mi się w pamięci cała rozmowa małżeńska, której mimowolnym byłem świadkiem. Żal mi się zrobiło kobiety, która tak boleśnie czuje błąd popełniony i bardziej cierpi od małżonka zdradzonego przez nią w chwili szału czy słabości charakteru.

— Przestrzegaeś mnie! — mówiła — zanadto sobie zaufałam!...

Biedna kobieta!

Ale kto jest ten Cezar wtajemniczony w cały sekret?... Ha, nietrudno będzie się dowiedzieć! To nie kochanek, tylko powiernik. To zapewne jakiś sąsiad.

Jedno tylko było dla mnie niepojętem, to zachowanie się Waleryana i samej pani Krzuckiej wobec Mieczysława. Jeżeli to on zamącił ich domowy spokój, w takim razie mąż zdradzony, wiedząc już o wszystkim, nie mógłby go tak całować w oba policzki... A i pani Krzucka inaczéjby go była przyjęła, przynajmniej w obecności męża. Nie, wcaleby nie była wyszła z swego pokoju.

A więc to nie Mieczysław, ale ktoś inny.

Czy może ów Cezar?... Tak, to on, to pewnie on! Wszak z tego co mówił Krzucki najwyraźniej wynika, że tylko dwoje ludzi wygadaćby mogło tajemnicę: Cezar i Jagusia. O nikim więcéj nie wspomniał. Cezar! Cezar!...

Nie, nie. To Mieczysław! Czyż nie widziałem jakimi patrzyli na siebie oczyma! Jak się rumieniła za każdym jego spojrzaniem!...

Ale ta jój skrucza?... Czy udana?... O nie! To był żal głęboki, rozpacz nad upadkiem własnym, nad utratą mężowskiego przywiązania i szacunku! Te rumieńce, to były rumieńce wstydu!

Biedna kobieta!...

Ale czemu Mieczysław nie wraca? Strach mnie przejmował o panią Krzucką. Po tem co zaszło w ich domu, mąż musi być tak podejrzliwym! Ha, gdyby teraz znalazł moje łutro!... moje buty!... Okropnie!

Niepokój mój doszedł do zenitu.

Zeskoczyłem z łóżka i począłem biegać po pokoju jak szalony. Czemu on nie wraca!...

Wtem zwróciła moją uwagę stojąca na stoliczku przed łóżkiem Mieczysława duża fotografia w eleganckich ramkach. Spojrzałem bliżej: była to fotografia pani Krzuckiej. A!...

Zbliżyłem ją do świecy, aby się jój lepiej przypatrzeć. Pod fotografią wyczytałem drobnymi głoskami wypisane słowa:

Mieczkowi

Margosia.

a niżej data... dzisiejsza!!... Osłupiałem.

I ja mogłem wierzyć w cnotę téj kobiety? w szczerść jój skruczy!

Mówiła, że jój »wstyd saméj siebie«, że nie wierzy, »aby mąż ją jeszcze mógł kochać po tem co się stało...« a pewnie mu przysięgła, że romansik z Mieczysławem był chwilą zapomnienia, że do przeszłości niepowrotnéj należy, której całe życie wstydzić się będzie... i pewnie niezłomną wierność małżeńską ślubowała nanowo. A on uwierzył i przebaczył wspaniałomyślnie!... Przyjął nawet tak Mieczysława, jakby nie wiedział o niczem... Lituje się nad skruszoną pokutnicą...

A ta fotografia dzisiejszą nosi datę!...

Wpatrywałem się z obrzydzeniem w jój rysy, w których tak złudnie malować się zdawała piękna i szlachetna

duśa, niezdolna do zdrad i obłudy. Wtem wszedł Mieczysław z kelnerem.

— Słuchaj — rzekłem do kelnera wyjmując z portmonetki banknot pięcio-guldenowy. — To dla ciebie przeznaczone, byleś się dobrze sprawił.

— O, dobrze się sprawię wielmożny panie. A za dzieśięć lepijby się sprawił.

— No, i drugą piątkę dostaniesz jak się przekonam, żeś nie papla.

— O, to się na mnie nie pokaże, aby ja kiedy co wygadał. Niech wielmożny pan spyta się pana A**, albo hrabiego Z** czy się na mnie można spuścić...

— Słuchajże. Wracając do stancyi, przez pomyłkę zaszedłem na pierwsze piętro zamiast na drugie, a sądząc, że mój towarzysz już śpi, wszedłem na palcach, tak cicho, że mnie pani Krzucka będąca w drugim pokoju nie słyszała. Zrzuciłem futro i ściągnąłem buty i dopiero wtedy spostrzegłem się, że jestem w obcym pomieszkaniu, kiedy pan Krzucki wszedł do pokoju żony a ja go poznałem po głosie. Uciekłem co prędzej i zostawiłem tam buty i futro...

Kelner na cały głos się roześmiał a nawet i Mieczysław nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Nie śmieję się, ale słuchaj o co idzie...

— O, już ja wiem, proszę pana. Wielmożny pan chce, abym wyniósł te rzeczy tak, aby p. Krzucki nie widział...

— Aby oboje państwo Krzuccy nie widzieli.

Kelner uśmiechnął się złośliwie.

— O, już ja to zrobię! Ale, jeźliby pan Krzucki już znalazł?...

— Jeźliby państwo już spostrzegli te rzeczy, to powiedz, że to tyś je tam zostawił przez pomyłkę niosąc do czyszczenia.

— Aha, a jak pan Krzucki będzie chciał, koniecznie wiedzieć czyje to rzeczy, to ja powiem, że to tego starego Niemca z Nru 52...

— Nie — odpowiedziałem z naciskiem. — Jakby pan Krzucki się pytał, o czem wątpię, to powiedz, że to są moje rzeczy.

— Że wielmożnego pana?... — zapytał kelner z widocznem zdziwieniem.

Potwierdziłem raz jeszcze, a kelner wyszedł. Mieczysław stanął przy piecu, zrobił gest niezadowolenia, a potem zapytał:

— Nie rozumiem co ci tak zależy na zachowaniu tajemnicy. Najlepiej byłbyś uczynił, gdybyś nie był uciekał, ale spostrzegłszy swoją omyłkę sam ich przeprosił, obuś się napowrót i wyszedł.

— Tego nie mogłem zrobić.

— Czemu?

— Starzy mężowie są zawsze podejrzliwi. Krzucki byłby mi może nie uwierzył. A zresztą, mam jeszcze inny powód, dla którego nie chciałbym, aby wiedzieli, że tam byłem... Przypadek uczynił mnie świadkiem rozmowy, której pewnie nie życzą sobie, aby kto podsłuchał...

— O czemże mówili? — zapytał z najwyższem zajęciem.

— Nie zwykłem robić plotek. Kilka słów niecałkiem nawet dla mnie zrozumiałych.

Mieczysław nalegał, abym mu powtórzył, co słyszałem.

— Śmieszny jesteś! — zawołałem w końcu. — Na cóż mnie pytasz? Jój się zapytaj, a dowiesz się pewnie więcej, niż mąż się dowiedział.

— Jakto? Nie rozumiem!...

— Nie udawaj! — zawołałem z niechęcią i pokazałem mu fotografię pani Krzuckiej na stoliku. — Nie udawaj! bo widziałem i czytałem dedykację... »Mieczkowi — Margosia«...

— To ty jesteś śmiesznym! — odparł Mieczysław widocznie zirytowany. — Czyż nie wiesz, że...

— Że to pamiątka z lat »dziecinnój przyjaźni«, czy tak?... Ale ja na nieszczęście dostrzegłem datę! Cha cha!...

Zaśmiałem się z goryczą. Mieczysław dozwolił mi się naśmiać, a potem rzekł:

— Przestałeś? No, teraz będziesz śmiać się powtórnie, ale z siebie samego. Słuchaj. Zapytaj jutro twego pana Waleryana, kto mi tę fotografię tu przyniósł i dla kogo ona przeznaczona. Może choć jemu raczysz uwierzyć, że brat najstarszy pani Margerity nazywa się także Mieczysław, i że tę fotografię przyniósł tu mąż sam, prosząc mnie o doręczenie jój w Warszawie.

Zawstydziło mnie to wyjaśnienie. Tak niegodnie posądziłem tę kobietę! Jakże pozory często mogą mylić!...

Po chwili jednak jakiś zły duch, czy wrodzona moja podejrzliwość podszeptęła mi wcale co innego. Roześmiałem się jeszcze serdeczniej niż wprzód:

— Wierzę ci, wierzę! Mąż przyniósł fotografię żony dla »Mieczka« szwagierka, to prawda! ale ty wiesz dobrze, że ta fotografia dla ciebie przeznaczona... to nazbyt jasne!

Mieczysław zawahał się chwilę dziwnem jakimś miotany uczuciem, a potem rzucił mi się na szyję z najżywszą radością:

— Ty tak sądzisz? Ach, gdyby to była prawda! Byłbym najszcześliwszym na świecie! Powiedz, powiedz! ty może co wiesz? Zkąd ci te domysły? może co podsłuchałeś?... ah, może ta rozmowa, której mi nie chcesz powtórzyć?...

W twarzy Mieczysława malowała się taka szczerłość, że znów powątpiewać zacząłem o słuszności moich podejrzeń. Jeśli ona go kocha, on przynajmniej nie wie jeszcze o tem. Kocha? czy może dziecięcą kiedyś kochała miłością?... ale w każdym razie widoczne, że owym adonisem, którą ją przywiódł do upadku nie mógł być Mieczysław! A więc to Cezar! kto ten Cezar? muszę, muszę się dowiedzieć!

Śmiesznością zaiste było posądzać Mieczysława! Gdyby on był owym uwodzicielem, czyżby się pani Krzucka była

w takim razie poważyła posłać mu przez męża fotografię z tym podpisem, który takie nasuwa domysły?

Ah, czemu tę myśl mu podałem!

Mieczysław tymczasem latał po pokoju, jakby oszalał z radości. Muskał sobie wąsik, bił się dłonią w czoło, burzył palcami swoją fryzurę, to znowu wpatrując się w fotografię pani Margerity, składał gorące ucałowania na ramkach.

— Ona moja! ona moja!... och, jeśli to prawda!... Człowieku, ty nie wiesz ilem ja ci winien za ten twój domysł!... Tak, tak!... teraz wszystkiego się dowiem!

Porwał mnie w swoje objęcia i w uniesieniu całował mnie w usta, w brodę i po ramionach. Nie potrzebuję wyjaśniać, że mi niewielką tem sprawiał przyjemność. Wydzierałem się z jego uścisków i kłąłem siebie w duszy, że niebacznie tak niebezpieczny podsunął mu domysł.

Kelner wrócił niosąc na ramieniu moje szopy i niedźwiedzie pana Waleryana, jego suknie pod pachą a w rękę dwie pary butów.

— Niech wielmożny pan da piątkę. Zabrałem z jego rzeczami do czyszczenia pańskie futro i buty. Nie widział ich pewnie, bo ani pisał.

Wyplaciłem piątkę z radością, że się na tem skończyło. Chwała Bogu! pomyślałem, z wielkiej chmury mały deszcz.

— A pani Krzucka — dodał kelner przypatrując się banknotowi — jak posłyszła, że ja rzeczy zabieram, zapukała do drzwi ze swego pokoju i zawołała: »Mężuś! mężu-siu! a każ się zbudzić rano, abyśmy się nie spóźnili na kolej.« Kazał się zbudzić o piątą, a o szóstą kawa...

— Wiem, wiem, jadą do Wiednia.

Kelner zbliżył się do mnie i rzekł ciszej, konfidencyonalnie:

— On tak twardo śpi... o, proszę pana, że trzeba dobrze walić pięściami we drzwi, aby się obudził... a chrapie, jakby drzewo piłował... o, ja go zawsze budzę to wiem...

— Cóż mi tam do tego! — rzekłem zniecierpliwiony uwagami kelnera. — Już dobrze. Możesz iść.

Kelner spojrział na mnie z ironicznym jakimś uśmiechem.

— Już wielmożny pan nic więcej nie rozkaże? Zbudzić przed szóstą?...

— Nie, o ósmej dopiero.

— Pociąg wiedeński przed siódmą odchodzi — reflektował mnie kelner.

— Cóż z tego? ja do Wiednia nie jadę.

Gdy kelner odszedł, Mieczysław pogroził za nim gniewnie pięścią i rzekł do mnie z cierpkim wyrzutem:

— Widzisz! przez twą nieuważę, roztrzepanie, lekko-myślność skompromitowałeś kobietę!...

— Byłeś ty jęj nigdy więcej nie skompromitował!

Mieczysław chodził po pokoju zamyślony i milczał. Kiedy rozebrawszy się zgasiłem świecę, on jeszcze chodził i na przemiany palił papierosy i wzdychał.

Zbudziwszy się nazajutrz rano, spostrzegłem, że już wyszedł. O ósmej wreszcie zjawił się kelner i oświadczył na wstępie, że państwo Krzuccy o wpół do siódmiej wyjechali do Wiednia.

VIII.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

— Byłeś na dworcu kolei? — spytałem wchodzącego Mieczysława, wyłaząc z pod kołdry.

— Zkąd wiesz?

— Ba! nie trudno zgadnąć! — mruknąłem z niechęcią i zacząłem wciągać buty...

Ach te buty, te buty! Patrząc na nie, przypomniałem sobie wczorajszą moją awanturę. Wciągnąłem prawy, a nad lewym zacząłem rozmyślać. Zdawało mi się, że jeszcze ciągle słyszę śmiech panny Katarzyny, gdy mnie spotkała uciekającego po dwa i trzy schody za jednym susem — a bez obuwia... Dziwna assocyacya idei, któraby p. Ochorowiczowi nastreczyła temat do szerokiej rozprawy psychologicznej: buty moje i panna Katarzyna!

Niemало czasu już minęło od owego fatalnego zdarzenia, a i teraz jeszcze ściągając lub wciągając ciaśniejszą parę butów, nieraz mimowoli przypomnę sobie śliczne jej oczęta... i ten śmiech! ten śmiech!... żal serce ściska — ach!... Ale to wszystko do rzeczy nie należy. Przepraszam!

Mieczysław chodził po pokoju szybkim krokiem, zatopiony w myślach; oczy mu promieniowały dziwnym jakimś blaskiem, nie wiem czy szczęściem czy miłością? to tak pokrewne sobie usposobienia!

Spojrzał wreszcie na mnie zadumanego nad butem.

— Cóż tak dumasz? — i roześmiał się wesoło.

Westchnąłem.

— A ty?

— Ach, gdybyś wiedział! gdybyś wiedział! — zawołał takim głosem, jakim Akteon byłby opowiadał swoim towarzyszom o tém co obaczył — gdyby tego opowiadania boska Diana nie była uprzedziła zamienieniem go w jelenia.

— No cóż? widziałeś ją, mówiłeś z nią i koniec.

— O ty nie wiesz! ty nie wiesz...

— Powiedz a będę wiedział, — przerwałem opryskliwie.

— Nie wiesz jaka ona! jak ja ją kocham!

— Szaleńcze! — No powiedzże: mówiłeś z nią?

— Mówiłem! — zawołał. A wyrzekł to słowo tym samym tonem jakim prawdopodobnie nieboszczyk Archimedes musiał wygłosić swoje sławne: Znalazłem! *Eureka!*

Bardzo się wiele mieściło w tém jedném: »mówiłem«. Bardzo mi się nie podobało brzmienie tego wyrazu.

Pokiwałem rozczochraną ze snu głową w lewo i wprawo i odpowiedziałem cmoknięciem języka.

— O ty miałaś słuszną! miałaś słuszną wczoraj, domyślając się... o tak, tak! ona mnie kocha!

I chodząc coraz spieszniej po pokoju obie dłonie złożył na swojej głowie, jakby się bał, aby mu nie pękła z nadmiaru szczęścia.

Wyskoczyłem na środek stancyi w jednym bucie na nodze a z drugim w ręku.

— Jakto? czy powiedziała ci?

— Ta fotografia... z tym podpisem, to dla mnie!

I oczy sobie zakrył rękoma, jakby od wielkiego blasku. Już nie chodził po pokoju ale prawie biegał. Ja za nim.

— Dla ciebie? jakto? czy powiedziała!

— Nie, — o to jój nie pytałem. I pocóżbym pytał? Ja wiem!... Ona mi powiedziała więcej, nieskończenie więcej! Oczy jój mi powiedziały, jój łzy, jój rumieńce!... O mój drogi! twój domysł był słuszny! — jak ty znasz ludzi! jak ty znasz kobiety!... Czym ja się mógł spodziewać tyle szczęścia!...

To mi pochwała zasłużona! — pomyślałem. Znam kobiety? Jak mi życie miłe, ani mi przez głowę nie przeszło, żeby to była taka zmiyka fałszywa! Tu dopiero przed mężem się korzy i udaje Magdalenę pokutującą, — tu jakiś Cezar! tu znowu Mieczysław! A to miła żonka!... Biedny panie Waleryanie!

— Nie uwierzysz jak była zmieszana ujrawszy mnie! Nie wiesz jak jój było ładnie dziś, zakwefionej w tym szalu i w tém ciemnym futerku!... Bała się widać abym nie dostrzegł jój pomięszania — i bardziej jeszcze zanurzyła twarzyczkę w tych zwojach: rumieńców swoich, zawstydenia swego wstydziła się!... O, to anioł, nie kobieta!

Aha! anioł z rożkami — pomyślałem.

— A jakie te kobiety skryte! mówił dalej zakochany. Udała że się nie domyśla, że ja dla niej przyszedłem tak

rano... oh, wiedziała ona dobrze o tém: zmięszanie jój zdradziło ją. Pytała mnie, czy wyjeżdżam? czy odprowadzam kogo?... Kogo innego byłyby zmyliły te pytania — ale kto kocha jak ja kocham, ten widzi wszystko jasno w oczach, czyta w sercu! Kobieta którą kocha, niczego przed nim zataić nie zdolna.

— A gdzież mąż był podczas tego twego czytania?

— Bilety kupował i nie mógł się docisnąć do kasy, a potem kufrы oddawał na wagę i znowu musiał długo czekać zanim na niego przyszła kolój. Szczęśliwy traf mi posłużył, że taki był dziś natłok podróżnych — przeszło kwadrans mogliśmy bezpiecznie sam na sam rozmawiać... Bóg łaskaw!...

— I o czémżeście tak rozmawiali?

— A, to ciekawość!... to moja tajemnica!

Poruszyłem ramionami i westchnąłem w poczuciu własnej bezsilności w zaradzeniu złemu.

— Nie... nie... ja się tylko droczę z tobą. Ja przed tobą nie chcę mieć tajemnicy. Wszak tyś mi pierwszy oczy odślonił! Gdyby nie ty... nie byłbym wiedział, że mi świeci słońce! żem szczęśliwy! żem kochany!

A bodajżeby mi był język skołczał! — pomyślałem.

— Czy powiedziała ci to?

— Nie potrzebowała mi mówić!... Tyś chyba się nigdy nie kochał. O tem się tak wprost nie mówi. Widziałem! i ona widziała że widzę! ah, jak była zmięszana! jaka piękna!... Patrzyłem jój w oczy, tak, wprost, śmiało, serdecznie, pocziwie...

— Bardzo pocziwie! — mruknąłem pod nosem sam do siebie.

— A ona bladła i czerwieniała na przemian i poprawiała ten welon biały, który zasłaniał mi jój usteczka — i szeptała tak nieśmieie — a oczka spuszczała na dół przed moim wzrokiem pałającym... Czasem tylko ukradkiem, ba-

dawcze rzuciła na mnie spojrzenie, jakby chciała przeniknąć mnie aż do głębi duszy...

— Ale o czemżeście tak mówili z sobą?

— O czemżebyśmy mówili, jak nie o naszym rajach straconym, o szczęśliwym dzieciństwie naszym, o latach razem spędzonych, których każdy dzień, każda chwila niezapomnianą dla mnie pozostawiła pamiątkę!... O gdybyś był widział jak była wzruszoną w tej chwili gdym wspomniał jej nieboszczkę matkę!...

— No, to nic dziwnego! — rzekłem nieco uspokojony.

— A gdym znowu wspomniał o naszych wspólnych zabawach, o naszych pustotach... tysiące drobnych szczegółów, które tak żywo mi tkwią wszystkie w pamięci! — jak mnie raz uwolniła z niewoli... i w jaki sposób... Rozpłakała się na to wspomnienie!

— W jakiejże ty byłeś niewoli? tureckiej? tatarskiej?

— W jej byłem niewoli i ona sama mnie z niej uwolniła... W czasie wakacyj zrobiliśmy byli raz wspólną wycieczkę całodniową do lasu — jej rodzice, moja matka i jeszcze kilka rodzin zaprzyjaźnionych. Oprócz jej braci i jej siostry i kuzynki, było jeszcze kilka dziewcząt i nas studentów czterech czy pięciu, — dość, że bawiliśmy się wybornie: gry, tańce, zabawy... o, nigdy tego dnia nie zapomnę!

— I tam cię wzięła w niewolę? Wieleżes ty miał lat wtedy?...

— Miałem może siedmnaście lat, może więcej.

— To ona i czternastu nie miała?

— Tak, to było jeszcze dziecko... ale jakie dziecko! dziecko i nie dziecko już! Płonęła w rumieńcach od moich spojrzeń, rozumiała je przecuciową tą domyślnością serca, wiedziała, że ją kocham, że o niej tylko myślę i marzę, choć nigdy nie mówiliśmy z sobą o miłości. A ja? ja szalałem za nią... tak jak dziś! Czułem że mi wzajemną w każdym jej słowie, w tonie jej głosu, gdy do mnie mówiła, — przy każdym dotknięciu jej ręki, w każdym jej spojrzeniu.

Szczęśliwy byłem! Upojony tym czarem pierwszej miłości, wierzyłem, że tak będzie zawsze, całe życie, całą wieczność! Byłem najszczęśliwszy z ludzi!

— Któż przez to niebo nie przeszedł w młodości! Niestety, krótko to trwa, bardzo krótko... No, ale miałeś mi opowiedzieć o jakimś uwolnieniu z niewoli?...

— A tak, prawda! — Otóż nigdy jeszcze nie była dla mnie taką jak owego dnia... Wśród zabawy i wesołych okrzyków towarzystwa, czułem, że tak jak ja nią, tak ona mną tylko zajęta: spotykały się ciągle nasze oczy, spotykały się nasze ręce... była chwila — o mało się usta nasze nie spotkały....

— Ale owa niewola, niewola! — przypomniałem Mieczysławowi.

— Bawiliśmy się w pielgrzymka... Znasz tę grę?

— Mniejsza o to.

— Otóż »pielgrzym« opowiada swoje przygody a przy wymówieniu w ciągu opowiadania wyrazu obranego przez jaką osobę z towarzystwa, osoba ta powinna bezzwłocznie przerwać mu opowiadanie i przyjąć jego rolę, ciągnąc dalej opowieść... Ja zaś, zapatrzony w Margeritę, zupełnie na to nie uważałem i fant po fencie musiałem składać. Wszyscy spostrzegli moje roztargnienie, aż wreszcie jeden z kolegów zawołał: »Ależ Miecio nic nie słyszy i nie widzi oprócz panny Margerity... Nakoniec będzie musiał już chyba siebie samego na fant jój oddać«, (Margerita bowiem zbierała składane fanty). Wyobraź sobie jaka nastąpiła konfuzya i jakie raki! Gdy potem przyszło do wykupna fantów — a i ona ich kilka wykupywać musiała, — kuzynka jój zasądziła, aby mi za karę ręce związać i związanego prowadzić mnie przez las — aż do drogi; na nią zaś wydała wyrok, aby to właśnie ona mi związała ręce i związanego prowadziła jak jeńca. — Nie wypadało jój się wzbraniać — dokonała więc tego z pewnością zawziętością, aby się w ten sposób pomścić za doznaną konfuzyę — i na tyle węzłów zawiązała sznurek, że potem

nikt go już nie mógł rozplątać. Zdarzyło się przypadkiem, iż nikt nie miał z sobą scyzoryka i nie było czém przeciąć moich więzów... koledzy studenci mieli pewnie, ale twierdzili, że nie mają... Szedłem tedy pokornie, jako jój więzień z rękoma spętanemi przed sobą, drogę dawnośmy już minęli a biedaczka obawiała się nowój konfuzyi, gdy mnie tak związanego przez nią, do reszty towarzystwa, do starszych doprowadzają. Cóż więc robi? Zgadnij co zrobiła?...

— Nie potrafię.

— Przegryzła sznurek swemi ząbkami!...

— Co za dowcip! — szepnąłem z ironią. Mieczysław zatopiony w swoich wspomnieniach nie zważał na to.

— Ach jaka była przy tém ładna! dotąd ją taką widzę! Przypomniałem jój dziś ten dzień i to zdarzenie. Jeżeli ją inne wspomnienia lat naszych dziecięcych widocznie wzruszyły, to przy tém nie mogła już łez powstrzymać, a gdy jój wspomniałem o tych ząbkach — to łzy jak perełki strugą potoczyły się po jój twarzy...

— Cóż w tém tak rozrzewniającego?

— Oh... ty tego nie rozumiesz!... Jakem łezki te obaczył, chciałem do nóg jój się rzucić! ale wtém nadszedł jój mąż. .

— Szczęściem.

— Szczęściem — mówisz?... O, ty chyba nie masz serca! Czyż nie widziałeś wczoraj, jaka ona nieszczęśliwa — jak jój potrzeba duszy bratniej na tym świecie, któraby ją pojęła, zrozumiała tak jak ja, ukochała jak ja!...

— Jeżeli nieszczęśliwa — to właśnie mam więcej serca od ciebie egoisto, i nie chciałbym abys ją jeszcze nieszczęśliwszą uczynił!...

— Ja? — i roześmiał się gorzko. — O ty człowieku z sercem miłościwém! — zawołał z ironią, — więc według ciebie należy ją zostawić losowi, bez wszelkich pociech serdecznych, bez téj odrobiny szczęścia, jakie daje współczucie,

niech więdnie w tęsknocie i smutku, niech drętwieje przy boku tego hreczkosieja, niech zamiera w apatyi...

— A cóż ty chcesz zrobić? — zapytałem z indygnacją. — Chcesz jęj zaszumić w głowie jakimś lirycznym poematem... czy jurydycznym, chcesz do reszty obalamucić jęj serce, zamącić spokój jęj duszy, zagłuszyć sumienie i odebrać jęj ostatni może skarb, jaki jeszcze posiada: dobrą sławę!...

— Jęj dobrą sławę? — zawołał oburzony do żywego, — nigdy!... Cóż może uwłaczać dobrej sławie kobiety przyjaźń człowieka, który był towarzyszem jęj lat dziecinnych...

— Przyjaźń! przyjaźń! cha! cha! Powiedziałem ci już, że nie wierzę w te przyjaźni kobiet, które przed mężami swemi taić muszą... Czemu nie powiesz: miłość?

— A choćbym powiedział: miłość! to i cóż?

— Miłość idealna — eteryczna! — platoniczna! powiesz zapewne...

— Czyż mozesz inny między nami przypuścić stosunek! Trzeba być na to materyalistą najgorszego gatunku!

— Ho, ho! tak się mówi z początku... Ale potem!...

Odwrócił się odemnie z najwyższem oburzeniem.

— Nie mówmy o tem — rzekł po chwili cierpko, — niepodobna abyśmy się zrozumieli! — Ty chcesz, aby spłoneęła na stosie ofiarnym dla twego pana Waleryana... a ja tego nie dopuszczę!...

Twarz mu nagle rozgorzała wewnętrznym płomieniem i z zwrastającym mówił zapałem:

— Nie dopuszczę! klnę się na wszystko święte!... Tak mi nakazuje nie tylko miłość, ale i obowiązek sumienia... Ja ją ocalę od męża... i od nięj samęj... choćbym miał życiem to opłacić. — Jadę do Wiednia dziś wieczór!

— Do Wiednia jedziesz? dziś wieczór? zapytałem przeżony.

— Do Wiednia — dziś wieczór! odrzekł dobitnie.

Zamilkłem. Słów mi zabrakło, aby wyrazić com czuł i myślał w tęg chwili...

Gorączkowym krokiem przeszedłem się po pokoju: Platoniczna miłość! — mruknąłem sam do siebie i zapaliłem papierosa.

Stałem przed miednicą, nalałem wody z butelki i zacząłem się umywać... z papierosem w ustach. Papieros przy zetknięciu z wodą, zgasł oczywiście; wyplułem go z ust i z mokrą twarzą i rękoma, z których woda na posadzkę kapiała obróciłem się nagle do Mieczysława. Dobra myśl przyszła mi w tej chwili — nie odkładałem wypowiedzenia jej na potem.

— Słuchaj mnie! — rzekłem spokojnie a tonem przyjacielskiej prośby, — ja ci zaręczam, że ona cię nie kocha!... Gdyby cię kochała, no — to w takim razie postępowanie twoje i twój wyjazd do Wiednia dałyby się choć w części usprawiedliwić. Wina byłaby przynajmniej z obu stron... Ale tu rzecz się ma wcale inaczej: ona cię nie kocha! jej się o tobie nie śni wcale! Jeżeli kiedy miała dla ciebie żywsze jakie uczucie — to wierzaj mi, że go obecnie nie ma. Ten smutek jej i rozstrój wewnętrzny w jakim ją widziałeś... powiększyłbyś tylko wyznaniem twem... Ty nie wiesz z jakich on przyczyn pochodzi... nie zatruwaj jej spokoju!... Ona teraz jest w takiem usposobieniu, żebyś ją dobił wyznaniem miłości, którejby odwzajemnić nie mogła... Dołałbyś ostatnią kroplę goryczy do czary. Miej litość nad nią!... A mnie wierzaj — nie mówię tego bez podstawy: ty się łudzisz tylko: ona ciebie nie kocha!

— Cha! cha! — zaśmiał się szyderczo. — Zkądże ty możesz o tem wiedzieć?

— Mam ważne powody do tego mniemania, po podsłuchanej wczoraj jej rozmowie z mężem. — Nie wierzę, aby cię kochała! a to wszystko coś mi opowiedział o waszem dzisiejszem spotkaniu na kolei — to w gruncie rzeczy jest wielkie nic, które widziane przez twoje różowe okulary młodocianych wspomnień — mogło ci się wydać czemś... Ona cię nie kocha — i nie może kochać...

Gdyby tak było, jak sobie uroiłeś, nie miałbym dla niej szacunku...

— Szacunku? cóż znowu! dlaczego? — zapytał obrażony.

— Nie dlatego, aby to było rzeczą tak potworną zakochać się w tobie, — ani dlatego jakobym miał odsądzać od czci kobietę zamężną, która się w kim zakocha: to jest bowiem nieszczęściem, ale nie podłością...

— A więc dlaczego?

— Dlatego... dlatego... com wczoraj przypadkowo usłyszał...

— A więc o mnie była mowa?

— Nie, wcale nie.

— Cóż mogłeś takiego usłyszeć? — zapytał na wpół niedowierzająco i zamyślił się. — Cóż? zapewnienia wzajemnego przywiązania z czułym panem Waleryanem? Czyż nie wiesz, że to romans z musu?

— Nie, nie, odrzekłem. Mieczysław widocznie analizował to wszystko w myśli co odemnie usłyszał.

— A! może nadzieja jaka?...

— Nie, bynajmniej, nic o tem nie słyszałem.

Zadumał się z ręką na czole, tak, jakby rozwiązywał jaki problemat matematyczny.

— Kobiecie zamężnej... powiedziałaś... nie odmawiasz jeszcze szacunku, jeśli się w kim zakocha... ale jej... odmówiłbyś, gdyby mnie pokochała... Choć o mnie mowy nie było... twierdzisz, że mnie nie kocha... i nie może kochać...

Wzdrygnął się nagle i stanąwszy przedemną spojrzął mi bystro w oczy:

— Ha!... więc kocha kogo innego?... Ale nie! to niemożliwe!... Ona jak anioł czysta, niewinna! Chyba mąż ją o to posądzał, podejrywał! dręczył swoją zazdrością!... Powiedz!...

Ocierałem twarz ręcznikiem, nie wiem, czy z wody, czy z zimnego potu.

— Daj mi słowo — rzekłem po chwili namysłu — że to co ci powiem, pozostanie między nami!

— Daję ci słowo najświętsze!

— I żadnego z tego nie zrobisz użytku?

Podał mi rękę raz jeszcze.

— A więc słuchaj! — zacząłem i przerwałem. Przeraziłem się gwałtownością lekarstwa, którem chciałem go przywieść do upamiętania.

— Słuchaj! w krótkich słowach powiem ci wszystko... Pani Margerita... rozpaczła nad swoim upadkiem!... a mąż, mąż — ten pocziwy pan Waleryan — ten najzacniejszy pan Waleryan, tak niesprawiedliwie przez ciebie osądzony — pocieszał ją!... zapewniał, że o wszystkim zapomni! że ją kocha zawsze jednakowo!... Teraz wiesz już wszystko... Wiesz dlaczego cię kochać nie może — i dlaczego bym nie miał dla niej szacunku, gdyby cię kochała...

Mieczysław — skamieniał.

Blady był, jakby wszystka krew zatamowana w obiegu uciekła mu do serca. Czułem, jak tym jednym ciosem zburzyłem cały gmach jego szczęścia — nadzieje jego obróciłem w niwecz... może i wspomnienia zatrąłem...

Wyciągnąłem ku niemu obie ręce i zimne jego jak lód dłonie uściśnąłem gorąco.

Pogorzelec, który wszystko w pożarze utracił — rodzinę i dobytek cały, nie wyglądałby rozpaczniej od niego.

Usiadł na łóżku, podparł ręką czoło na kolanie, patrzył przed siebie martwemi oczyma i milczał.

Szanowałem tę boleść i to milczenie.

Nie pocieszałem tam, gdzie pociecha jest tylko frazesem i niczém więcej.

Długo to trwało, — wreszcie rzucił się na postanie i przyciskając twarz do poduszki płakał jak dziecko.

Dałem mu się wypłakać — nic większej nie sprawia ulgi ludziom takiego jak Mieczysław temperamentu. Zacząłem się ubierać i myślałem przytem:

— Cierpi biedaczysko więcej niż się można było spodziewać... No! sangwinik! wypłacz się i uspokoi... i wszystko będzie dobrze... Kuracya radykalna — to prawda!... ale do Wiednia już nie pojedzie — niema obawy.

Zawiązywałem właśnie krawatę przed zwierciadłem — gdy wtém Mieczek zerwał się na równe nogi i zapytał z jakimś szczególnym akcentem tłumionéj wściekłości:

— A on?

— On? Mówiłem ci przecież, że jój wszystko przebaczył.

— Ale on! on!... nie o męża pytam!... Kto jest on? on?...

— Ah... rozumiem! Na cóż ci się zda to wiedzieć?... ja nie wiem kto ten »on«. Nazwiska nie znam, usłyszałem tylko imię, któreby łatwo mogło na fałszywy trop naprowadzić. Nie pytaj mię napróżno — bo gdyby ci się zdawało, żeś go odszukał, mógłbyś jakie szaleństwo popełnić...

— O nie! — zaręczał Mieczysław łagodnym głosem, i prosił: Powiedz!... powiedz mi! Kto wie, może on ma jakie jój listy, któreby mu trzeba odebrać, aby jój nie skompromitował...

— Nie nalegaj na mnie — odrzekłem po chwili namysłu. — Nie powiem. Wszelka interwencya z czyjéjkolwiek strony, z wyjątkiem męża, jeszczeby jój bardziej zaszkodziła.

Mieczysław nalegał — ja się uparłem: nie wymieniłem imienia uwodziciela.

Na tém skończyła się nasza rozmowa. Wyszedłem do miasta dla załatwienia różnych interesów, odwiedziłem znanych i wróciłem do stancyi dopiero wieczorem.

Nie zastałem w pokoju naszym — ani Mieczysława ani jego rzeczy.

Odjechał do Wiednia.

IX.

WYPRAWA PO SZCZĘŚCIE.

Pojechał do Wiednia.

— Szalencie! — pomyślałem. I zacząłem spokojnie zastanawiać się nad tém, jakie może za sobą pociągnąć skutki ta jego wyprawa.

— Pani Waleryanowa musiałaby być chyba kobietą do gruntu już zepsutą, aby Mieczysławowi udało się obalamować jęj teraz głowę. Po tym świeżym upadku, którego tak szczerze zdaje się żałować, po tęg goręcęg skrusze z jęj strony i wspaniałomyślném przebaczeniu męža, nie podobna przypuścić aby tak rychłó mogła znowu upaść. Nie, chybaby ani iskry szlachetności w jęj sercu nie byłó! Późnięj, zjawienie się Mieczysława możeby się mogłó byłó stać dla nięj niebezpieczném — ale obecnie niema obawy. Może to i szczęście, że teraz właśnie szturm przypuści: dostanie taką odprawę, że nie wróci więcęg.

— Ale te wspomnienia dzieciństwa, które wedle jego opowiadania tak żywe na nięj miały wywrzeć wrażenie?... Może to była pierwsza jęj miłóść?... Pierwsza miłóść tak łatwo zmartwychwstaje za lada podmuchem!... A jęj łzy na przypomnienie owych więzów rozgryzionych ząbkami? Co to wszystko znaczy?... Nie, nie! te łzy, to były łzy wstydu wywołane przypomnieniem straconęj niewinności lat dziecięcych i obecnego upadku...

— Co to może być za figura, ów Cezar?

I przypomniałem sobie żywo wyrazy p. Waleryana i ton jego głósu jakim wspomniał o Cezarze: »Oh, miałbym ochotę w łeb mu palnąć!« A potem, w dalszym ciągu ich rozmowy, gdy pani Margerita obawiała się, aby tajemnica jęj się

nie wydała, on na to: »Cezar nie wygada!« i zaśmiał się rubasznym śmiechem.

Rubasznym śmiechem! rubasznym! Gdyby to był dziki śmiech, piekielny, szatański, szyderczy — rozumiałbym, że pan Waleryan użył jakiegoś »radykałnego« środka, który go zupełnie i na zawsze zabezpiecza od samochwalstwa Cezara, ale śmiech taki — hreczko-siejsko-rubaszny... to nad pojęcie!

Rozmyślając nad tą zagadką poszedłem do restauracyi. W rynku, na linii A—B. spotkałem najbliższego sąsiada pp. Krzuckich, znanego nam już p. Krzysztofa.

— Liczne pan masz sąsiedztwa na wsi? — zapytałem go w ciągu pogawędki.

— A no: Krzuckich, p. Henryka, p. Stanisława — to najbliższe; potem p. Bartłomieja w Borku, p. Antoniego Kwantowicza w Wólce, hrabiego Alfonsa, państwa Posze-ruszewskich, pana Jana, pana Marcina, pana...

— Pana Cezara — wtrąciłem zręcznie.

— Jakiego pana Cezara? — zapytał zdziwiony.

— A prawda! to dalej, to już nie sąsiedztwo...

— Dalej? Ja i w całej okolicy nie znam żadnego Cezara. O jakimże to Cezarze mówisz?

Przymrużyłem oczy i zacząłem sobie dłonią czoło pocierać:

— Ach... niechże go! jaką ja mam słabą pamięć do nazwisk!... aj, jak mnie to męczy! Cezar... Cezar... zaraz! zaraz!...

— Hm, Cezar? co to za Cezar?

— Dalipan nie mogę sobie przypomnieć!... ani rusz aj, aj, tak jakbym miał na języku... aha! już mam! nie, nie!

— Et, uroiło ci się chyba, nie ma tam u nas żadnego Cezara! Przecież ja tam wszystkich znam na mil dwadzieścia w około... całą okolicę jak moją kieszeń... A jakże się wieś nazywa!

— O! wsi to już zgoła nie wiem. Ale żegnam łaskawego pana, bom djabelnie głodny.

— Zaciekawileś mnie. Ktoby to mógł być?

— Może on zresztą tam nie mieszka w okolicy: wiem tylko, że bywa w tamtych stronach...

— U kogo?

— U Krzuckich i w innych domach zapewne...

— Nie widziałem tam u nich nigdy żadnego Cezara...

— Ale bywa z pewnością!

— Nie słyszałem! a przecież wiem kto u nich bywa, a zresztą ktokolwiek do nich jedzie, to musi jechać przez Podlesie, tuż koło mego domu. Chyba ci się śniło...

— Może. Do widzenia.

Po tej niefortunnej próbie zaciągnięcia wiadomości o Cezarze zrobiłem w restauracyi dwie dalsze, niemniej bezskuteczne, interpelując w podobny sposób pana Jana i pana Edmunda. Niezrażony niepowodzeniem zapytałem nazajutrz pana Henryka — z tym samym skutkiem. I tak samo dni następnych Marcellego i nie pomnę już kogo.

Wypytywałem również o sąsiadów w okolicy p. Balbiny, siostry Waleryana, dokąd pani Krzucka dość często wyjeżdżała. I tam również nie było Cezara.

Kilka dni już upłynęło od wyjazdu Mieczysława. Pewnego dnia wróciwszy wieczorem z teatru, zastałem go z powrotem z Wiednia, rozlokowanego znowu w wspólnym naszym mieszkaniu. Rozebrał się już był i położył do łóżka. Spał — i nie słyszał mnie wchodzącego. Przypatrzyłem się śpiącemu. Na pierwsze wejrzenie wydał mi się zmieniony na twarzy jakby po przebytej ciężkiej chorobie.

Nie obudziłem go — i położyłem się spać, myśląc o naszej jutrzejszej rozmowie. Co się stało? z czém wrócił?

— A na miły Bóg! — wrzasnął mi nazajutrz nad uchem pan Krzysztof, który przyszedł mnie odwiedzić — dziewiąta godzina! Któż widział tak długo spać!

Ocknąłem się ze snu, przetarłem oczy i poznawszy p. Krzysztofa podałem mu rękę.

— O czemże się śniło? — zapytał ze śmiechem, wi-

dząc moją zaspaną minę. Może znowu o tym panu Cezarze o którego się wszystkich rozpytujesz? Co to za Cezar!

W téj chwili przypomniałem sobie, że w drugim pokoju śpi Mieczysław, wskazałem więc panu Krzysztofowi na drzwi w pół przetwarte i rzekłem półgłosem:

— Mów pan ciszej, tam śpi mój towarzysz...

— He?... co mówisz? — zapytał głośniej jeszcze przygłuchy nieco pan Krzysztof.

— W drugim pokoju śpi mój...

— Ja nie śpię już... Dzieńdobry! — odezwał się Mieczysław.

Pan Krzysztof zapytał mnie z kim mieszkam, a gdy mu powiedziałem, — powrócił do swego pytania, z którym był przyszedł:

— Co to za jeden, ten Cezar? klina mi wbiłeś w głowę. Zeszliśmy się wczoraj w resursie: ja, Edmund, Henryk, Jaś, Marcelli... i opowiadam im, żeś się ze mną spierał, że w mojej okolicy mieszka jakiś tam Cezar...

— Ale nie! — zaprzeczyłem stanowczo.

— No, czy mieszka, czy bywa... Mówiłeś że bywa u Krzuckich...

— Tak!... słyszałem, że bywa — odparłem jak na mękach.

— Otóż ja im opowiadam a oni w śmiech! Co takiego? pytam. A oni na to, żeś ty każdego z nich z osobna wypytywał o tego Cezara... »I mnie« mówi Marcelli. »I mnie« Henryk, »i mnie! i mnie!« A wiesz co, jak mi Bóg miły, djabelnie mnie zaciekawiłeś: co to za Cezar? powiedzże już raz! I co ci zależy tak na tém, aby się dowiedzieć...

— Wszak wiesz, panie Krzysztofie Dobrodzieju, co mi zależy: męczy mnie to, że jego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę...

— I nie możesz?

— Ani rusz!

— Chachacha! bo ci się przyśnił pewnie, powiadam

ci, że ci się przyśnił! Ot co jest, i kwita... Długo tu jeszcze zabawisz?

— Chciałbym się jeszcze doczekać powrotu p. Wale-ryana dla ukończenia z nim interesu mojej ciotki...

— Po co on do Wiednia pojechał?

— W interesach jakichś, jak mówił.

— Mówił?... on tam nie ma żadnych interesów!... No, ale bywaj zdrów — wstawaj! A nie sypiaj do dziewiąt-
tęj, to niezdrowo! bardzo niezdrowo!

Po odejściu pana Krzysztofa wszedł do mego pokoju Mieczysław — na wpół już ubrany.

Uścisnął mi rękę i spojrzał badawczo w oczy. Blady był, smutek i znękanie moralne przebijały się z całej jego postaci.

— Nie gniewasz się na mnie? — rzekł trzymając moją rękę w swjej dłoni. I usiadł na moim łóżku.

— Ja? za co?

— Żem mimo twoich przyjacielskich uwag pojechał do Wiednia...

— Mój drogi, nacóżby się tu gniewy przydały? i cóż-
bym mógł mieć za prawo gniewać się za to, żeś mojej rady nie posłuchał! Mogę ci tylko powiedzieć raz jeszcze: źle zro-
biłeś!...

— Wierzaj mi, że nie... Być może zresztą, żem źle
zrobił nie słuchając cię... ale choć wszystko inny obrót wzięło
niż pragnąłem, mogę choć tyle powiedzieć: dobrze się stało,
żem pojechał!... przynajmniej to zyskałem, że się już łud-
zić nie będę... jeżeli to zysk! Może strata?... bo mi i złu-
dzeń dziś żal... ha, ale się już nie łudzę...

— Nie rozumiem cię. Czy przekonałeś się, że cię ona
nie kocha?

— Tak!... — odpowiedział mi zcicha tym głosem, ja-
kim więzień po odczytaniu mu wyroku odpowiada towarzy-
szom na zapytanie: czy na całe życie skazany został..

— Powiedziała ci to? — zapytałem po długiej pauzie.

— Powiedziała...

I znowu długie nastąpiło milczenie. Mieczysław patrzył przed siebie zamglonemi oczyma, myśli jego daleko gdzieś odbiegły. Czasem lekki rumieniec przemknął mu po twarzy a usta drgnęły nerwową kontorszą tak, jakby w pamięci i w uczuciu przechodził po raz drugi świeżo przebytą jakąś bolesną scenę.

Jakby z gorącej łaźni wyskoczył, otrząsł się nagle z dumania gwałtownym ruchem, zaczerpnął powietrza głębokim oddechem i zawołał jakby sam do siebie :

— Niepojęta kobieta!...

Zwrócił się ku mnie:

— Czy ty ową ich rozmowę, którąś mi powtórzył przed moim wyjazdem do Wiednia, dobrze słyszałeś?...

— To com powtórzył, słyszałem dobrze.

— Niepojęta kobieta! Sfinks! sfinks prawdziwy. Jak te wszystkie sprzeczności mogą iść z sobą w parze!... A prawda! on się Cezar nazywa? ów on, którego nazwiska nie znasz, a którego imienia nie chciałeś mi powiedzieć!... Nie chciałeś mi powiedzieć, a zastąpił cię dzisiaj p. Krzysztof... Pocóżes ty się tak gorliwie dopytywał o tego Cezara?

Prawdę mówiąc sam sobie na to pytanie odpowiedzieć nie umiałem. Mieczysław powtórzył parę razy to imię »Cezar!... Cezar« a za każdym razem z inną intonacją głosu, a potem wpatrzył się we mnie z ironią.

— No, no, nie rób takiój przestraszonój miny, nie bój się, ja żadnego szaleństwa nie popełnię. Dochodzić nawet nie myślę kto on. Na co mi się to wszystko przydać może!... już mi to wszystko obojętne!...

I zaśmiał się żółciowym śmiechem.

— Wyleczyłem się! ha, ha! wyleczyłem się...

— Oby tak było! ale ten śmiech twój i twoje wyglądanie dzisiejsze inaczej świadczy.

— Ba! cóż chcesz? rekonwalescent jestem! jak mam wyglądać inaczej po ciężkiej chorobie, rekonwalescent jestem...

I dodał z niewypowiedzianym smutkiem:

— I zostanę nim może już tak przez całe życie... rekonwalescencya trwa czasem długo... aż do grobu...

— Powiedz mi przecie — rzekłem po chwili — jak to było?

— Jak?... rzecz prosta!... powiem ci krótko... Nie żądaj szczegółów i nie pytaj potem już więcej o to. Ty nie wiesz jak mi jest, gdy o tem mówię!... Chacha... moja rekonwalescencya wymaga, abym przynajmniej nie mówił o tem, bo myśleć...

Przeszedł się parę razy ciężkim krokiem po pokoju, stanął przedemną, pochwycił cygaro, odgryzł koniuszek z taką zaciętością, jak niegdyś przed wynalezieniem otylcówek odgryzali żołnierze patrony, popsuł gwałtownem tarciem kilka zapatek, zapalił wreszcie i zaciągnąwszy się kilkakrotnie dymem, wydmuchał parę kłębow przed siebie.

— Dwa razy byłem... nie przyjęto mnie. Byłem trzeci raz... a wiem, że wtedy męża nie było w domu: »pani cierpiąca na fluksyę — przeprasza« rzekła mi służąca... a wiem, że wyjeżdżała z hotelu tego dnia i przez kilka godzin bawiła gdzieś w mieście. Nie wiedziałem, czy spróbować raz jeszcze czy nie. Biłem się z myślami i nie mogłem się zdecydować. Nazajutrz szedłem tam już... i zawahałem się w bramie hotelu: poszedłem do galerii obrazów. Bawiłem tam kilka godzin... Nic nie widziałem... nie wiem com widział. Wróciwszy po obiedzie do hotelu zastałem bilet męża. A przecież! pomyślałem, jest rewizyta, to mogę pójść. W tem mąż wchodzi, obcałował mnie nie wiem ile razy, »mój królu, drugi raz już dziś jestem u ciebie, koniecznie chciałem cię zastać« i zapraszał mnie gorąco, abym do nich przyszedł wieczorem. »Jutro będziemy na operze, ale dzisiaj siedzimy cały wieczór w domu«. A jakże fluksya? zapytałem. »Ho, już Margosia zdrowa całkiem, jak rybka zdrowiuteńka! ani śladu téj fluksyi! tego mumpsu! Będzie ci rada! bo cię bardzo lubi! (mówił mi »ty«) dziś już nie powiesz, że spo-

ważniała! zawsze taka sama... taki sam trzpiot... jak ją znałeś!... .

Rzucił się w fotel, wydmuchał znowu niebieskawy obłok tytoniowego dymu z gardła i mówił dalej:

— Gorączka mnie ogarnęła. Nie mogłem doczekać tego wieczora. Poszedłem znacznie wcześniej niż zwyczaj każe. Jęgo nie było w domu tylko sama pani...

— I znowu cię nie przyjęto?

— Owszem. Ona sama! sama! wyobraź sobie jak mi serce biło!...

— Ale powiedz mi — przerwałem — cożes ty właściwie zamierzał z nią mówić? jaki cel miałes jadąc do Wiednia po dowiedzeniu się odemnie o tem świeżem jęj przejściu... o jęj błędzie i żalu, o przebaczeniu męża?...

— Nie przerywaj mi... Jaki cel? czy ja wiem?... Dziwne twoje pytanie! jaki cel ma człowiek, który kocha i chce widzieć ukochaną?... a tem bardziej, jeśli mu się marzy, że jest kochanym... a przynajmniej, że może być kochanym! Co tu pytać: jaki cel!... Co to mi znaczy, że dała się uwieść jakiemuś tam Cezarowi!... że upadła? Daruj mi, ale jam temu nie wierzył... ja dziś jeszcze... zaledwie temu wierzę!... Ona i upaść! bajka z tysiąca i jednej nocy!... Ta rozmowa podsłuchana przez ciebie?... ja nie wiem: co, jak, ale ja nie wierzę, żeby ona upadła...

— Więc sądzisz, że ja sobie może skomponował całą tę rozmowę?... może dlatego, aby ciebie odwieść...

— Ja nic nie sądzę... ja nic nie sądziłem jadąc do Wiednia... pojechałem! Kocham i pojechałem. .

— Więc ostatecznie: nie wierzysz w jęj upadek? — zapytałem z gorzkim uśmiechem.

— Nie dręcz mnie! nie znęcaj się nademną!... Cóż chcesz odemnie, abym ci powiedział?... Wierzę ci niestety, wierzę... jakże mógłbym nie wierzyć!... wierzę, ale nie chcę wierzyć... nie chcę! i proszę cię: nie mów mi o tem.

Cóż ci na tem zależy, aby kalać moje świętości!.. Nie pytaj mnie o nic... Chcesz słuchać czy nie?

— Słucham.

— I cóż z tego jeżeli upadła? Upadła, dała się uwieść, i może nikczemnikowi jakiemu, którym sama dziś już pogardza, to i cóż? Upadła, bo kobieta słaba i nieszczęśliwa!... To cóż dziwnego!... Ten pan Waleryan może być i najpocziwszy człowiek w świecie, ale to starzec i człowiek, który po ziemi tylko chodzić potrafi... Nie chodzić! pełzać chyba!... I jakże chcesz, aby ona go kochać mogła? Czy możesz wątpić, że ona nieszczęśliwa?... a nieszczęście wszystko tłumaczy! Kobieta tak bardzo pragnie szczęścia! nie może żyć bez miłości!... Mnie nie było, sądziła może, że ja zapomniał już... to na chwilę i niegodnemu oddała serce, temu Cezarowi... Ale kochać go, o nie, kochać go nie mogła! bo gdyby go była kochała, to nie mogłaby tak się czuć skruszoną i złamaną jak opowiadałeś... i tak znowu rychło zapomnieć o nim i o całym przejściu... i taką być teraz, jak ją zastałem...

— Jakże ją zastałeś?

— Jak?... Chachacha!

I zaśmiał się dziwnym jakimś śmiechem, takim, jakimby zaśmiał się może człowiek, któryby w dniu pogrzebu najdroższej dla siebie istoty, był przypadkowo świadkiem jakiegoś niewypowiedzianie komicznej sceny

— Czego tak się śmiejesz? — zapytałem.

— Śmiałyś się i ty... któżby się nie śmiał, gdyby ją zobaczył taką... i to w kilka dni po tych łzach i po tym smutku głębokim... i po tej rozmowie jej z mężem, którą ty mi opowiedziałeś! Znałem ją przecież od dziecka, widywałem ją w różnych usposobieniach dobrego humoru, w dniach najbardziej słonecznych... słuchaj! takię wesołej, rozpromienionej, śmiejącej się najswobodniejszym śmiechem, takię do pustoty prawie rozżartowanej, rozswywołonej, nigdy jeszcze nie widziałem! .

— Czy nie udanie?

— I ja tak sądziłem w pierwszej chwili i powiedziałem jój to. Powiedziałem jój tonem bolesnego wyrzutu, że przed przyjacielem dziecięctwa swego odgrywa rolę szczęśliwej kobiety. Zaprześtań pani, bo wiem, ile cię to kosztuje. Jeżeli chcesz, abym w Warszawie głosił, żeś najszczęśliwszą w świecie, powiem co każesz, ale przedemną nie zadawaj sobie przymusu, bo nie możesz przecie przypuścić, aby mnie to zdołało w błąd wprowadzić; zresztą, wszak widziałem cię w Krakowie!..

— I cóż ona?

— Wybuchnęła najweselszym śmiechem i snadź przypuszczając, że moje uwagi były tylko prostym żartem i że o jój szczęściu powątpiewać nie mogę, przybrała wyraz i pozę teatralną nieszczęśliwej ofiary i układając twarz do patetycznej boleści, narzekać poczęła z emfazą na starego męża-tyrana, za którego ją gwałtem wydano... a wśród téj tragicomedyi parsknęła nagle śmiechem tak pustym, że już o jego szczerości powątpiewać było niepodobna... Ach jaka była urocza! jaka czarująco piękna!...

— Dziwna kobieta!

— Nie wiedziałem zrazu co mówić. Wszystko com mówić zamierzał rozprysło się o ten śmiech i o tę nieudaną wesołość. Najsmutniejszy pod słońcem byłem człowiek, gdym szedł do niój, serce mi się z bólu ścisnęło... a tak mnie oczarowała swoją pustotą, że w końcu sam się śmiać zaczął. Siadała, to wstawała, to znowu przypominając różnych naszych znajomych przybierała ton i sposób ich mówienia, ich gesta i ruchy... Co nie wyprawiała w swój pustocie!... Zdawało mi się, że znowu studentem, że znowu w owym lasku, gdyśmy się bawili w kotkę i myszkę i w pielgrzyma... Czarująca była! nigdy ją jeszcze tak piękną nie widział!...

— Czy zawsze jeszcze w tym haremowym woalu?

— Nie, w jakiejś tunice greckiej... Ach jaka piękna! A jak ona wie sama o tem, że piękna!... Przechodząc koło

zwierciadła kilka razy zaśmiała się sama do siebie najponętniejszym uśmiechem... Te usteczka! te ząbki! te oczy!... A spostrzegłszy, że widziałem jak sama siebie kokietuje w lustrze, zarumieniała się i zapytała mnie filuternie: czy bardzo zbrzydła od czasu naszego niewidzenia... Cóż jęj miałem powiedzieć!... Zmora jakaś dusiła mnie za gardło. Słowa nie wyrzekłem.

Zakrył oczy obiema dłońmi, jakby zasłaniając je przed tem co go otaczało, chciał przed nie przywołać uroczy obraz pani Margerity. Dumał tak czas jakiś, a ja tymczasem spuściwszy nogi z łóżka, patrzyłem się na przygotowaną parę butów... i marzyłem o... ale to nie należy do rzeczy!

Ocknął się wreszcie z zadumy.

— No i cóż dalej? — zapytałem.

— Rozgawędziła się i zaczęła mi opowiadać o swoim domu na wsi, o swoich zajęciach, swoim gospodarstwie, o swoich sąsiedztwach. Słuchałem jęj jakby jakiś czarodziejskiej muzyki... słuchałem i słuchałem bez końca... i już potem nic nie słyszałem. Odbiegły mi przy nięj myśli gdzieś daleko. Sam nie wiem o czem myślałem!... Zastanawiałem się nad tem, co to wszystko znaczy?... jak ona może być tak szczęśliwą z tym starcem?... jak ona, tak niewinna, tak dziecinna jeszcze i taka anielska... jak ona upaść mogła? i jakim mógł być ów człowiek, który ją przyprowadził do upadku? .. rozpacz, żal, łzy i łzy a teraz wesołość taka?... jak ona może być tak wesołą w tęg chwili? Zbudziła mnie wreszcie w tęg zadumy: »ja opowiadam, plotę trzy po trzy, a pan nie słuchasz! o częm pan tak się zamysliłeś?«... O częm? ha! nie śmiej się ze mnie! mnie się uroiło, że ona z powodu mego przybycia taka wesoła, taka szczęśliwa! Całą teorię wyroiłem dla wytłumaczenia tych zagadek! tych sprzeczności!... Nie prawda! ona nie upadła! to były przywidzenia męza, którym nie mogąc ich z głowy mu wybić, w końcu przeczyć przestała... oto wszystko cós ty słyszał... Pan Waleryan stary dziwak, fiksat, ale zresztą

musi to być dobry człowiek i ona go może kocha jak ojca, ale mnie... mnie... o nie mogłaby o mnie zapomnieć tak łatwo!...

— Jakto? wyobraziłeś sobie, że ona cię kocha?

— Tak! — odrzekł z gorzkim uśmiechem rozczarowania.

— Że rozplęwała się we łzach ujrzawszy cię w Krakowie, a teraz przekonawszy się, że ją ciągle kochasz niezmiennie, szczęśliwa? w siódmym niebie?... I cóż jęj powiedziałeś?

— Powiedziałem jęj wszystko! Patrzyła na mnie zrazu z niedowierzaniem, potem ze zdziwieniem, jakby urażona... i spoważniała nagle. Jam się jeszcze łudził! jeszcze nic nie rozumiałem.

Uśmiechnąłem się mimowoli ironicznie, Mieczysław to spostrzegł.

— Prawda? to śmiesznie!... Cóż ci mam mówić więcej? łatwo ci się domyśleć jak się ta scena skończyła. Mówiłem jęj o mojej tęsknocie... rozpaczy... miłości... Chciałem ją pochwyć za rękę — usunęła się... No — i koniec historii. Śmieję się!...

— Nic ci nie powiedziała?

— Powiedziała mi tonem bolesnej wymówki — ale spokojnie i bez gniewu, że jęj były zawsze drogie wspomnienia lat dziecięcych i przyjaciół jęj z tych lat, ale że nigdy nie przypuszczała, abym tak źle sobie mógł tłómaczyć jęj serdeczną dla mnie życzliwość i tak mało miał dla nięj szacunku. Słyszysz ty? szacunku!... Nie dała mi odpowiedzieć. »Żegnaj pana« — i wychodząc spiesźnie do drugiego pokoju, stanęła we drzwiach jak królowa i rzekła jeszcze: »Powieś memu mężowi, że pan skutkiem otrzymanego telegramu odjechać musisz dziś do Warszawy — i byłeś tu z pożegnaniem.« — Zamknęła drzwi za sobą na klucz...

Tu Mieczysław próbował udawać, że się śmieje. Nie szło mu to. Krew uderzyła mu gwałtowną falą do głowy.

Wstał z twarzą rozczzerwioną, i rzucił niedopalone cygaro w kąt pokoju. Gwiznął i zaczął przechadzać się z rękoma w kieszeniach — jak szuler po zgraniu się do szeląga.

Zasłuchany w opowiadaniu niepuszczałem z niego oka jakbym oczekiwał końca powieści.

— Czegóż tak patrzysz na mnie?... Koniec już — koniec! Zabawiła cię bajeczka?... Już koniec. Morału nie ma, chyba ten jeden że....

Nie dokończył, znać powstrzymał się wczas od powiedzenia jakiej bajronicznej niedorzeczności. Przegryzł wargi, brwi zmarszczył.

— Jadę dzisiaj do Warszawy.

X.

KUMAKOWCE.

— Mój królu! przyjedźże do nas do Kumakowiec! daj mi słowo że przyjedziesz!

Temi słowy żegnał mnie poczciwy pan Waleryan, gdy doczekawszy się jego powrotu z Wiednia i załatwiwszy z nim ostatecznie interes mojej ciotki, złożyłem pp. Krzuckim pożegnalną wizytę.

Obcałowany przez p. Waleryana, uściśnąłem wyciągniętą ku mnie malutką rączkę pani Margerity, która z swjej strony dołączyła zaprosiny:

— Przyjedź pan, serdecznie prosimy. Ja nie zwykłam prosić przez grzeczność, — ja nie umiem być grzeczną: jestem albo niegrzeczną albo serdeczną... zwyczajnie jak kobieta ekscentryczna. A więc kiedy proszę, to trzeba przyjechać, trzeba koniecznie — bobym się naprawdę pogniewała na pana.

Ukłoniłem się dość ceremonialnie w odpowiedzi.

— Bardzo pięknie się pan kłania — ale taki ukłon jest najokropniejszą niegrzecznością w odpowiedzi na takie zaprosiny... Ukłoń się pan inaczej.

Uśmiechnąłem się dość kwaśno.

— Nie, nie, — i to nie pomoże. Musisz się pan inaczej ukłonić. Mężusiu, nie puść pana dopóki się inaczej nie ukłoni, bo mnie tym swoim poprzednim ukłonem zrobił niegrzeczność. Musisz pan mnie teraz przeprosić!

Waleryan śmiejąc się basowym swoim głosem, stanął we drzwiach i zagroził mi drogę. Miałem już na ustach jakieś banalne wyrazy zimnej grzeczności, ale pani Krzucka patrząc na moją zakłopotaną minę wybuchnęła śmiechem prawdziwie dziecięcym:

— Widzisz pan, nic nie pomoże. Niema ratunku! Radbyś pan z duszy być niegrzecznym, ale tego nie zrobisz, bo mego męża szczerze kochasz i nie zechcesz mu zrobić przykrości. O ja pana dobrze już znam! i wiem, że przez delikatność dla mego męża ulegniesz w końcu kapryswi jego żony... Amnestya dla mnie przez wzgląd na niego! O, inaczej nie byłabym tak śmiałą... i tak wymagającą...

Tu karykaturalno-ceremonialny ukłon z jej strony.

— Powiedźże pan i daj słowo: kiedy przyjedziesz do Kumakowiec?... Mój mąż nikim się tak jeszcze nie ucieszył jak się panem ucieszy... a więc i ja także... A więc?

— Radbym jak najrychlej służyć państwu... Będę się starał...

— Miesiąc? dzień?

Musiałem uleźć i przyrzekłem, że przyjadę w Marcu.

Prawdę mówiąc, nie wielką miałem do tego ochotę — a powiem czemu.

Z przyjemnością widywałem zawsze poczciwego pana Waleryana, widok jego przypominał mi najszcześniejsze lata mego dzieciństwa, a szczerą jego dla mnie przyjaźń, którą po ojcu otrzymałem w spadku, była mi drogą. Pominąwszy

nawet zresztą osobiste względy, postać p. Waleryana była mi wielce sympatyczną: pan Waleryan był typowym reprezentantem wiejskiego szlachcica dawno minionych czasów — a reprezentował godnie najlepszy z typów szlacheckich, ten, który nie grzęznąąc w zastarzałym konserwatyzmie, z nowożytnymi prądami wieku łączył staropolską, zdrową, serdeczną, acz może nieco rubaszną prostotę.

O ile jednak miłym mi był zacny hreczkosiej, którego zaprosinom chętnie uczyniłbym był zadość, o tyle przykro mi było od chwili pamiętnéj mi podsłuchanéj małżeńskiej rozmowy — widzieć go mężem téj młodéj, czarującéj roztrzepanicy, która go zdradziła, której on z tak niesłychaną przebaczył pobłażliwością, a która po téj świeżéj katastrofie, tak rychło zdołała żal swój ukoić i łzy otrzeć i wrócić do dawnéj pustéj wesołości — tak jakby się nic nie było stało.

Wesołość ta pani Krzuckiéj, jéj pustota, jéj humor żartobliwy — wyznaję szczerze, były mi wstrętne od chwili gdy stałem się mimowolnie posiadaczem małżeńskiej tajemnicy. Gdybym był o niéj nie wiedział, byłbym podziwiał dowcip pani Margerity, uwielbiał dziecięcą swobodę jéj umysłu, a oczarowany jéj pięknnością — byłbym poczytywał mego starego przyjaciela za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Wiedząc zaś o jéj upadku, to, coby mnie było wprawiało w zachwyt — raziło teraz najgłębsze moje uczucie moralne. Jakto? czyż tyle nawet nie ma poczucia winy w téj kobiecie, aby patrząc na męża, któremu się dopiero sprzeniewierzyła — nie uczuła rumieńca wstydu na twarzy, nie spuszczała oczu ku ziemi! Mimo odprawy danéj Mieczysławowi, która ją nieco rehabilitowała w méj opinii, wesołość jéj obecna po tak świeżéj wobec męża przewinie, bardziej ją potępiała w mém przekonaniu, od saméjże nawet winy. Wina mogła być skutkiem kobiecej słabości charakteru, — wesołość była w mych oczach tylko dowodem braku serca i wstydu, tych najcenniejszych klejnotów niewieściéj duszy.

Nie lubiłem pani Krzuckiéj, znieawidziłem ją. Niena-

widziłem tém bardziej, czém bardziej mnie uderzała bystrość jój umysłu, iskrząca dowcipem rozmowa, urok jjej postaci, i piękność...

Ach te oczy! od najpiękniejszych gwiazd piękniejsze!

Ach te usteczka malutkie, ciemnokoralowe! — te dołki figlarne na śnieżnej białości policzkach! ten uśmieszek cudowny, przy którym zwykła była mrużyć swe oczęta, ten uśmieszek, któryby i najsmutniejszego pojednał ze światem mizantropa, te ząbki jak sznurek najdobrańszych perełek, nanizanych w koralowej czarze!... ta bródka nieco uparta, ten podbródek rozkoszny, ta szyja bieluchna i ten biust Miłońskiej Afrodyty! — ta cała jjej postać, ruch każdy, dźwięk głosu!... ta kapryśna nieco ale pełna wdzięku oryginalność w intonacyi każdego wyrazu!...

Biedny panie Waleryanie! myślałem patrząc na nią. Niedługo trzeba będzie czekać — a po owym tajemniczym p. Cezarze nastąpi jaki tuzinkowy Don Juan, którego czarne wąsiki albo cera gładka i gładsze słówko zdobędą wyłom w tém wesołem serduszku! I przyszły mi na myśl słowa wieszczą:

... ciała ubrane w suknie; a polot ich sukien, powiewem trących, duchowniejszy niż dusza ich...

Biedny panie Waleryanie!...

Nienawidziłem pani Margerity, — nie za tę krzywdę, którą już wyrządziła mężowi, ale za te wszystkie, które wedle moich nieomylnych obliczeń wyrządzić mu jeszcze miała.

Patrząc na nią i na niego, mówiłem sobie w duszy: Ona, — to zgryzota jego, hańba jego — i jego śmierć!

Ach jaka piękna ta śmierć niebieskooka, o rumianych usteczkach! Piękna jak młodość, jak życie w całej swjjej pełni, jak raj na ziemi!

Brrrrru! to śmierć!...

Wzdrygałem się na myśl o niej. Bądź co bądź jednakże trzeba dotrzymać słowa danego tej nadobnej śmierci i poje-

chać do Kumakowiec, a to témbardziejź iź p. Waleryan dwoma listami przypomniał mi daną obietnicę.

Pojechałem tedy do mojej ciotki w ostatnich dniach Marca, a ztamtąd wybrałem się jej końmi do Kumakowiec.

Ach prawda! o mało nie zapomniałem nadmienić o wiadomości, jaką na parę dni przed wyjazdem z domu, otrzymałem od Mieczysława z Warszawy.

Donosił mi w liście, w którego wyrazach przebijał się nieuleczony smutek i zniechęcenie do życia, że ulegając nieustannemu naleganiu swój matki, oświadczył się o rękę panny Seweryny S., młodego dziewczęcia, godnego (jak się wyraził) zaiste lepszego losu niż poślubienie człowieka, który jej nie kocha i którego ona kochać nigdy nie będzie. Panna prosiła o czas do namysłu i wyjechała do krewnych na Ukrainę, zkąd aż w lecie ma do Warszawy powrócić. »Mając dla niej wysoki szacunek, nie zataiłem jej moich uczuć i sam prosiłem, aby nie przyzwoliła na oddanie mi swój ręki bez dojrzałego namysłu. Kto wie jednak jak się stanie: familia jej bowiem mocno na nią nalega, a młode dziewczę straciwszy w ostatniej wojnie narzeczonego, którego kochała — nie wierzy już, aby kogo innego w życiu pokochać jeszcze mogła. Może ulegnie życzeniu swój matki, jak ja mojej ulegam.»

Pod wrażeniem tego listu przyjechałem do Kumakowiec.

Przyjechałem przed obiadem. Z gości, tego dnia wyjątkowo nie było nikogo, ale oboje gospodarstwo gościli mnie tak wspaniale i tak serdecznie, jakbym nie był nowelista i ich dobrym tylko znajomym, ale najpierwyszyni potentatem w świecie i najbliższym ich krewnym.

Pan Waleryan był mi rad z całej duszy a pani Margerita w najlepszym w życiu humorze.

Zarozumiałością nie do darowania byłoby z méj strony, gdybym chciał się podjąć zadania, któremuby nie sprostał żaden z najznakomitszych powieściopisarzy naszych, żaden z tych nawet, z pod których pędzla wychodzą najidealniej-

sze kobiet portrety. Nie myślę kreślić pani Krzuckiej takiej, jaką mi się przedstawiła w czasie méj bytności w Kuma-kowcach, powiem tylko, że bardziej czarującej kobiety, idealniejszej istoty nie widziałem w życiu ani w wyobraźni.

Przyznaję, że zostając pod jéj czarem zapomniał nawet o méj ku niéj nienawiści i bawiłem się wybornie.

W ciągu wieczora, gdy pan Waleryan wyszedł z salonu dla jakiegóś narady z ekonomem, zmieniając nagle przedmiot rozmowy, zapytała mnie niespodzianie pani Krzucka:

— Czy wie pan o panu Mieczysławie?

~~Miał~~ — Że się zeni?

— Że się oświadczył o Sewerkę.

— Zkąd pani wiadomo?

— Pisała mi Sewerka. To szaleństwo!... Jak można się zenić nie kochając i nie będąc kochanym.

— Czy pani jest tego zdania?

— Czy można być innego?

— Może Mieczysław kocha pannę Sewerynę...

— O nie! Sam jéj wyraźnie powiedział...

— To ją może jeszcze pokocha kiedyś...

— Godna tego, to prawda, — ale wątpię.

— Czemu pani wątpi?

— Bo zakochany w kim innym...

— W pani! — rzekłem, patrząc jéj w oczy z ironicznym uśmiechem. Czemu to powiedziałem i czemu z ironicznym uśmiechem i czemu przytem spojrzełem badawczo w oczy pani Margericie — dalibóg nie wiem. Stało się to jakoś tak, — ni z tego ni z owego — jak większa część rzeczy na świecie.

Pani Krzucka spiekła porządnego raka:

— Zkąd pan wie o tém?

— Mówił mi.

— Mówił panu! — zawołała jakby oburzona tem powierzeniem tajemnicy w tak niegodne ręce.

Tu nastąpiły jeszcze żywsze rumieńce i śmiech. Śmiech

był tym razem udany — i to niefortunnie. Śmiać się jój nie chciało.

— Bądź co bądź — rzekła po chwili uspokoiwszy wzruszenie, — we mnie czy nie we mnie, to mniejsza, ale mi go serdecznie żal! to mój towarzysz dzieciństwa — od najpierwszych lat, prawie krewny... byliśmy z sobą jak rodzeństwo! Powinieneś pan wpłynąć na niego, aby tego szaleństwa nie robił! Dlaczegoż ma się samowolnie rzucać w przepaść? Siebie uczyni nieszczęśliwym i ją — a to taka pocziwa dziewczyna!... Uczyń pan to!...

I podała mi rękę do przyjaznego uścisku.

Sam nie wiedziałem zrazu co jój mam powiedzieć.

— A czy pani tego nie uważa za nieszczęście, aby się dał trawić beznadziejnemu uczuciu? Na niebezpieczne choroby potrzeba radykalnego lekarstwa.

— Toby nie było lekarstwem! — odparła z akcentem głębokiego przekonania. Lekarstwem najlepszym na takiego rodzaju choroby — czas. Czas dozwoli mu zapomnieć o młodocianych mrzonkach... on taki jeszcze młody!... zakocha się kiedyś w kim innym i będzie szczęśliwy.

— Jeżeli jego los panią obchodzi, to może pani zechce przeczytać list do mnie pisany...

I wyjąłem z pularesu list Mieczysława, który miałem przy sobie. Na co to uczyniłem? prawdziwie nie wiem. Tak jakoś wypadło z rozmowy. Zdawało mi się, że nic złego nie robię, choć gdybym był skrupulatniej rzeczy rozważył, byłbym był może przyszedł do przekonania, że podanie tego listu pani Margerycie miało nieledwie to znaczenie, jakbym przyjął rolę pośrednika do ponownej deklaracji miłosnej. Pamiętałem o stanowczej odprawie — jaką dała Mieczysławowi w Wiedniu i nie bałem się złego wpływu tego listu; uznawałem zresztą najzupełniej słuszność jój uwag, co do zamierzonego małżeństwa Mieczysława i widziałem w niej sprzymierzeńca w uratowaniu go od szalonego kroku.

Wyjęła list z koperty i utonąła w nim swemi oczyma:

taki wyraz rozlał się teraz po jej twarzy, jakby nie oczyma ale duszą całą utonęła w tym liście. Smutkiem powlokło się gładziutkie czoło; w niebieskich oczach, wesolutkich jak wiosna, zabłysnęły łzy.

Przeczytała do końca i zaczęła czytać raz drugi od początku... W połowie listu zatrzymała się i zadumała nad jakimś słowem. Potem złożyła go i oddała mi powolnym ruchem ręki:

— Bardzo smutny list! — rzekła z wymuszoną obojętnością, ale głos jej drżał.

W téj chwili wrócił pan Waleryan, a tuż za nim służący prosił nas na wieczerzę.

Pani Margerita tego wieczoru była poważniejszą niż zwykle; jeżeli się chwilami ożywiła w rozmowie, to znowu zapadała w zadumę.

Zauważył to pan Waleryan:

— Czy ciebie głowa nie boli Margosiu?

— Zdaje mi się, że będę miała migrenę.

I pożegnała nas udając się na spoczynek.

Wkrótce potem rozeszliśmy się także z panem Waleryanem a ja usypiając w rozpamiętywaniu grzechów — nie moich ale pięknej mojej gosposi, przyszedłem do konkluzyi:

— Jeżeli Mieczysław się nie ożeni, to prędjéj, czy później zostanie Cezarem Drugim.

XI.

PRIMA APRILIS.

Nazajutrz zrana po śniadaniu zaproponował mi pan Waleryan zwiedzenie jego stajni i jazdę konną. Przystałem z ochotą.

Czas był prześliczny, słońce dogrzewało jakby w Maju,

a był to... ach, przypominam sobie: był to pierwszy dzień miesiąca Kwietnia.

— Czy dobrze jeździsz konno, czy po łacinie?... — zapytał mnie pan Waleryan.

— Dobrze... nie powiem, ale siedzę dość silnie w siodle i grzywy się nie trzymam; nie łatwo spadnę z konia.

— No mój królu, spadłbyś ty, spadł: najlepszego jeźdźca niejeden koń zsadzi. Mam ja dwa konie, na którychbyś i dziedzińca nie objechał... głowę daję... głowę daję. Nie siądziesz na żadnego z nich, nie dam... o nie! Miałbyś Prima-Aprilis... Ale z innych wybieraj sobie którego zechcesz. Ja bo pojedę na moim Zegarku, to koń mego chowu, półkrwi po Emirze, to mój faworyt. Wielka część stajni, którą ci pokażę, to spuścizna po moim bratanku... majątek mu się rozszedł na konie... ot! gdyby to był przynajmniej chodował araby, araby... ale te wyścigowce angielskie to djabła warte... djabła warte, radbym się wyzbyć tego.

To mówiąc weszliśmy do stajni.

— Cóż to za koń, ten w klatce?

— Ho ho! to wielki pan, ogier, rodzony brat Zegarka, to Farys! Na tegobym cię nie wsadził, a raczej on sam wsiąśćby ci nie dał na siebie. Każę ci go kiedyś wyprowadzić, żebyś mu się przypatrzył, warto! warto!... ale dziś, jeśli chcesz, żebyśmy się przejechali, to nie ma na to czasu, przejdźmy tylko.

— A ta klacz kasztanowata? ależ to niepospolita miara!

— To Handsome... to ze stajni mojego bratanka. Kłus ma ogromny, ależ trzęsie! niech ją kaci!

— A ten jabłkowity? to zdaje się pieśczocho... jak on się za nami ogląda!... śliczna głowa!...

— Stary już! ale to był koń! ha, ha! to był koń!... Almanzor... Almanzor...

— Ah, wiem!... to ten sam co ci podobno życie uratował... Jak to było?

— Héj, héj — westchnął p. Waleryan — opowiem ci to kiedyś... Ale chodźmy dalej.

— A ten angiłik... czy on nie chory?

— Nie, to jego zwykły humor taki, Banco, chudy jak chart... Wygrał on raz puchar honorowy na wyścigach... ale kosztował mego bratanka grubo! grubo!... Dziś on już niewiele wart, to tylko cień tego konia jakim był.

— A więc to duch Banka. A ten gniady?

— Nazywa się Frant, ale łagodny jak dziecko. Tego bym ci radził dosiąść... Albo weź tego kasztanka; wybornie niesie, jakby płynął: Harald.

— A ten bułany? śliczny koń!

— To mojej żony Cezar.

— Cezar?! — zapytałem uderzony tem imieniem.

— Tak, Cezar... ładny koń, ale nie radziłbym ci na niego siadać; niby to sensat wielki, ale ma on niebezpieczne swoje narowy...

— To to jest Cezar!... — wyśpiewałem z przeciągłą deklamacją sam do siebie.

— Oho! ty coś wiesz!... — i pochwywszy mnie pan Waleryan za ramię, obrócił ku sobie i spojrzał mi w oczy. Czułem, że się mienię na twarzy.

— Ja? jakto?... nic nie wiem! — odrzekłem niby zdziwiony niezrozumiałem mi posądzeniem gospodarza.

Pan Waleryan uśmiechnął się znacząco i potrząsł głową z niedowierzaniem. Trudno było się dłużej zapierać, postanowiłem powiedzieć pół prawdy, aby nie dać poznać po sobie, że się całej domyślam.

— Coś słyszałem... w samej rzeczy... podobno jakiś wypadek?... nic nie wiem!... — bąknąłem zakłopotany.

— Wiesz! wiesz!... nie wypieraj się daremnie! już ja widzę z twój miny, że wiesz!... Ale powiedzże mi, skąd u djaska ty wiesz o tem?... To przecież szczególna rzecz jak się te plówki rozchodzą!... Tak, tak, to ten sam!...

Ale zlituj się mój drogi, nic jój nie wspominaj, że wiesz o tem!...

— A broń Boże!... Ale jakże to było?... To przed samym waszym wyjazdem do Wiednia?

— A tak, no, musieliśmy pojechać... bo wiesz... mumps a długo udawać trudno... trzy! trzy!... i to na przedzie! na przedzie!... Ale nie mówże o tem nikomu! bój się Boga!... Nie wyobrazisz sobie jaka to była rozpacz! a jaki strach, żeby się ludzie nie dowiedzieli. Co to próżność u kobiet znaczy! to taka rozsądna kobieta jak mało, a jednakże ani jój utulić w płaczu nie było można: »Nie patrz się na mnie! nie całuj mnie! ty mnie już kochać nie możesz! wolałabym była umrzeć! jak się ludzie dowiedzą, umrę ze wstydu!« Chachacha... biedne dziecko!

I wybuchnęliśmy obaj głośnym śmiechem. Ten sam fakt dla nas obu był pobudką śmiechu, ale w gruncie rzeczy każdy z nas inną miał do śmiechu przyczynę

— Dobrze ci się śmiać, ale ty nie masz pojęcia, w jakiej ona była rozpacz. Ażem się bał o nią... już myślałem, że sobie mózg otrząśła przy tym upadku... Ba! dla nas mężczyzn to furda; ja już od piętnastu lat mam tylko pniaki, ale dla kobiety... aj! okropne nieszczęście... A mówiłem jój! przestrzegałem! Jakaśmy tylko wyjechali za bramę tego dnia, to już widziałem, że on zaczyna kaprysić... nie! nie chciała mnie słuchać!... no i bariera, ha! o hop! babbuch! i stało się!... Ona wybornie jeździ... ale to łotr, łotr ten Cezar jakich mało... on wszystkiemu winien! Dalipan, miałem ochotę w łeb mu palnąć... w łeb mu palnąć... Zarzekła się, że nigdy na konia nie siądzie.. ba, ale cóż z tego! Szkoda powiadam ci! powiadam ci, bo ślicznie jeździ, jak królowa powiadam ci!... Nie chce i nie i nie... No! kobieta to tak zawsze... no, a cóż to pomoże teraz? nic!

— Ale nic nie widać! Niktby nie poznał!

— Ba! ba! gdybyś wiedział jacy ci Niemcy zręczni! tylko zlituj się, nie mów nikomu! nikomu!... Słowo?

— Ależ!... Czy mnie masz za starą babę panie Waleryanie, żebym plotki roznosił!

— No, któregoż konia kazać ci osiodłać!... Byle nie Cezara, bobyś miał Prima-Aprilis...

— Już miałem...

— Jakto? czy Margosia zwiodła cię już dziś może przy śniadaniu?

— Nie, ja sam się zwiodłem.

— A to jak?

— Eh, to długa historia!

Osiodłano mi kasztanka i wyjechaliśmy za bramę w pole.

Nigdy jeszcze w życiu gorzej nie jechałem na koniu jak tego dnia. Nie koń mi był na myśli i cugle, nie ostrogi ani droga, ale pani Margerita. Zatopiony w sobie nie wiedziałem gdzie jedziemy i dokąd i jak, nie słyszałem prawie o czem do mnie mówił w ciągu spaceru p. Waleryan i odpowiadałem mu ni w pięć ni w dziewięć. Pamiętam tylko, że przypisywał moje roztargnienie niezwykłości sytuacji w jakiej wedle jego mniemania czułem się jako literat na koniu.

Nie przypuszczał on zapewne, że powodem tego roztargnienia mego jest jego żona i wywołana przez nią gwałtowna rewolucya w moim mózgu, do chemicznego podobna procesus.

W chemii przybytek czasem najmniejszej drobinki obcego pierwiastku, w całym ustroju jakiegoś ciała najzupełniejszej dokona przemiany, tak, iż zmieni swój kształt, spójność, barwę, przejrzystość, zapach i wszystkie własności, w inny niż poprzednio porządek układając najdrobniejsze cząstki. Choć z tych samych złożone atomów, zgoła niepodobnym stanie się do tego czem było... Otóż równie radykalnej przemiany dokonał w ustroju moich przekonań, wyobrażeń, poglądów, spostrzeżeń i uczuć, co się tyczy pani Margerity, ten mały falcik, ta drobna w stajni kumakowie-

kiej powzięta wiadomość, że owym tajemniczym Cezarem, za którym tak niefortunne czyniłem poszukiwania, że owym Cezarem, sprawcą »upadku« pani Margerity był jój koń!

Pani Margerita, tak myślałem teraz, dając koniowi ostrogę, to najniewinniejsza, najczystsza, najszlachetniejsza, najidealniejsza na kuli ziemskiej kobieta! Czołem, czołem przed nią, a jam ją tak niegodnie śmiał podejrywać! I dla czego? z jakiego powodu? dla jakiegoś urywku rozmowy jój z mężem, przypadkiem podsłuchanego!... dla kilku wyrazów niejasnych, niezrozumiałych, które powinienem był sobie w jakikolwiek bądź inny wytłumaczyć sposób, albo nie tłumaczyć sobie wcale, lecz nie zaślepiac się i nie posądzać istoty, której twarz tak cudownie piękna świadczy dostatecznie o jój niewinności; której postać anielska i głos i ta dziecięca swoboda umysłu i jój wesołość, i myśl każda i słowo każde dowodnie świadczą, że jój cnota bez skazy a serce jak kryształ przeczyste.

— Wiesz co, Waleryanie? — zawołałem, przerywając ni z tego ni z owego jego opowiadanie o Almanzorze, tyś najszczęśliwszy człowiek na ziemi!

Spojrzał na mnie błyszczącemi radością jakąś dumą oczyma:

— Prawda! — zawołał i dając koniowi ostrogę przesadził przez płot, przed którymby się i nie jeden młodzieniec zawahał...

Wracaliśmy już ku domowi. Spotkawszy kilku włościan Kumakowieckich wszczął z nimi p. Waleryan sąsiedzką pogawędkę; ja jechałem milczący, zadumany, smutny... Czemu smutny? sam nie wiem.

Potępiałem się w duszy surowo za tę wrodzoną skłonność do podejrywania, za to nieuzasadnione niczem posądzenie żony przyjaciela. Wstyd mi było samego siebie. Pragnąłem uspokoić dotkliwy wyrzut sumienia jakąś zupełną zmianą w postępowaniu mém wobec pani Margerity, wobec której zachowałem dotąd stanowisko zimnego ugrzecznienia,

a za której serdeczną gościnność odwdzięczałem się dotąd demonstracyjnym chłodem w wyrazach a sztywnością postawy — tak jakbym drut połknął... Pragnąłem teraz jakimś nadzwyczajnym hołdem, jakąś wielką przysługą okupić to dotychczasowe moje postępowanie; wyrazić jęj mój najwyższy szacunek, moją cześć głęboką, moje uwielbienie, moją najszczerzą dla nięj przyjaźń, sympatyę moją serdeczną, więcej niż to! stokroć więcej!... nie, nie... uniosłem się za daleko... nic więcej nad to. Nic więcej — ale tę moją dla nięj przyjaźń, to pełne uwielbienia i serdecznęj sympatyi uczucie, pragnąłem wyrazić jęj bez ogródek a wyrazić jak najgoręćj... jak najgoręćj...

Nie — nie — znowu zanadto się unoszę...

Nie dziw! to ideał a nie kobieta!

Czułem, że gdyby nie moja przyjaźń dla p. Waleryana...

Ale co za szaleństwo!... jabym jęj tego nigdy nie wyznał...

A jednak — czułem... Czułem sam nie wiem co, i nie wiem jak nazwać co czułem w sercu, ale czułem coś dziwnego — coś niezwykłego...

Jakoś świętecznie mi się zrobiło w duszy, — wiosennie, słonecznie a smutno zarazem. Wiedziałem dobrze co to znaczy. Wiedziałem z doświadczenia...

— Trzeba uciekać z Kumakowiec! bo będzie z tobą źle człowieku...

Taką radę dałem sobie samemu przebierając się w gościnnym pokoju po powrocie z przejażdżki.

Wyjąłem z kuferka czystą parę butów... była to owa nieco obcisła para, która mi zwykła była przypominać pannę Katarzynę...

Tym razem nie pomyślałem o nięj.

Wszedł służący i i oddał mi jakiś pakiet:

— Przyjechał posłaniec konny z tym listem.

List był od mojęj kuzynki. Wzywała mnie z polecenia choręj ciotki do bezzwłocznego powrotu, z powodu interesu

niecierpiącego zwłoki, jaki cioci wypadł w czasie niebytności rządcy, któremu przed tygodniem dała pozwolenie wyjazdu do rodziny. Zaklinała mnie gorącemi słowy na moje do ciotki przywiązanie, abym nie tracąc chwili czasu opuścił miłą dla mnie gościnę u pp. Krzuckich i wracał, aby jój dopomódz w nadzwyczaj kłopotliwej sprawie, w której sama radzić sobie nie umie.

Z listu wypadła osobna kartka zwinięta we czworo. — Rozwinałem ją.

Stały na niej drobném piśmem nakreślone wyrazy:

Prima Aprilis.

rzy podpisy trzech moich kuzyneczek: Frania, Lusiatka i Amelka.

— To najlepsza sposobność! — pomyślałem, — trzeba z niej korzystać!... trzeba ztąd uciec póki czas!...

Podarłem kartkę a przebrawszy się po podróznemu, poszedłem do pp. Krzuckich, którzy na mnie czekali z drugim śniadaniem. Pokazałem im list, prosząc o konie do wyjazdu...

Poczytali to zrazu za żart, lecz gdy im zaręczyłem, że postanowiłem odjechać bez zwłoki, czując tego konieczność, zasmucili się oboje tak, jakbym najmilszym dla nich by, gościem...

Pokusa pozostania była nie mała. Nieuległem. Dręczyła mnie tylko ta myśl, że poprzedniem chłodniem mém obejściem zraziłem może jój dla mnie życzliwość, przeżartowałem jój przyjaźń i szacunek. Zostawić w jój pamięci przyjazne o mnie wspomnienie — tego już tylko pragnąłem, a pragnąłem gorąco — jakby szczęścia...

Po śniadaniu wyszedł p. Waleryan, aby wydać stosowne do mego wyjazdu rozporządzenia.

— Przyjedź pan na imieniny mego męża, — rzekła pani Krzucka.

— Czternastego? Jeżeli będę mógł nieomieszkać służyć łaskawemu państwu.

— Czy pewnie?

— Niech pani nie wątpi. Kto tu raz jeden był u was, nie potrzeba go już zachęcać, aby pragnął jak najrychlej powrócić.

To mówiąc ucałowałem podaną mi rączkę. Było to pierwsze dopiero ucałowanie jęj ręki z mojęj strony. Nie uszła jęj uwagi zmiana w mém zachowaniu, spojrzała na mnie z widoczném zadowoleniem i uściśnęła moją rękę w swęj dłoni po przyjacielsku, tak jak to zwykle mężczyźni tylko czynią....

Czułem że krew mi uderzyła do twarzy.

— Pisałam dziś do Sewerki — rzekła po chwili. — Napisz pan do Mieczysława! Staraj go się pan wszelkimi sposobami odwieść od takiego szaleństwa... toby było prawdziwe nieszczęście!...

Głos jęj drzał gdy to mówiła... Przelotny rumieniec zjawił się na licu, jak odblask zorzy na śnieżnym obłoku, i znikł...

— Wątpię — odrzekłem — aby mój list przydał się na co. On tak uparty w swych postanowieniach... i tak szalony...

— Napisz pan! — powtórzyła nieledwie błagającym tonem, jakby przez łzy.

— Uczynię to pani, jutro napiszę. Gdybym Mieczka nawet nie kochał tyle ile go kocham — to napisałbym już dlatego, że pani każesz...

— Ja tylko proszę...

— Każde życzenie pani jest dla mnie rozkazem! — zawołałem z zapałem. — Szczęśliwy Mieczysław że umiał zasłużyć sobie na tyle życzliwości ze strony pani...

Pani Krzucka spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem, chmurka jakaś napłynęła na jęj gładkie czoło.

— Wiesz pan przecież, — rzekła, dobitnie wymawiając każdy wyraz, — że to towarzysz moich lat dziecinnych... a że p. Elski jest przyjacielem pańskim, sądzę więc że i bez mego »rozkazu« jak się pan wyraziłeś...

— Tak pani!... ale gdyby nawet przyjacielem mym nie był, gdyby był mi wrogiem — uczyniłbym zadość woli pani... bo nie wiem.. nie wiem czy miałem kiedy w życiu dla jakiej kobiety tyle czci, tyle szacunku, tyle... jak dla pani... tyle... tyle wdzięczności... za to szczęście, którym pani darzysz Waleryana!

Rozpogodziło się jój czoło, podała mi znowu swoją rękę: radość błyszczała w jój ślicznych oczętach.

— O, jabym pragnęła, aby był szczęśliwym! Czyż on nie wart szczęścia! Całe życie tak zacne! tak czyste! spędzone w usługach obywatelskich!...

— Jest jednak szczęście, które wyjątkowo tylko dostało mu się w udziale... bo niem panie zwykłyście tylko młodych darzyć...

— Miłość? — zapytała żywo z lekkim rumieńcem. — Czyż on nie młody?... Popatrz pan tylko na niego: czy to nie żywy portret szlachcica, gdzieś z czasów wyprawy wiedeńskiej... Jak takiego nie kochać?... Wy panowie nie wiecie, co się nam kobietom w mężczyźnie podoba!... Ja jego nietylko kocham — ale ja kocham się w moim do niego przywiązaniu, bo czuję się dumną, zem jego przeniosła nad innych!... Ja wiem, że dziwiono się w Warszawie, jakem się mogła zakochać w jego siwych włosach... Kochać się, to uczucie egoistyczne, które wy tylko znacie. My kobiety nie umiemy kochać się — tylko kochać...

— Daruj pani, ale nie mógłbym tego zdania podzielać... W tém nawet co pani powiedziałaś, zdaje mi się, że sprzeczność...

— Dajmy temu pokój! To zresztą może zbyt subtelne różnice!... Czyż ten nie kocha prawdziwie kogo to szczęśliwym czyni, że kocha... i że jest kochanym?

Wszedł p. Waleryan.

Ucałowałem z uwielbieniem rękę pani Margerity i pożegnałem. Raz jeszcze dłoń moją uścisnęła jak staremu znajomemu.

Przed gankiem stały już zaprzężone konie.

Waleryan objął mnie w ramiona i uściskał jak brata:

— Bądź zdrów! A przyjeźdź rychło do nas i na dłużej!

Przyrzekłem. Nie przeczuwałem, że odwołując przez kilka miesięcy dotrzymanie tego przyrzeczenia — nie obaczę się już nigdy z poczciwym p. Waleryanem.

W Czerwcu, — była to właśnie trzecia rocznica jego zaślubin z panią Margeritą, — nagły atak apopleksyi zakończył ten żywot zacny i pełen poświęceń dla współobywateli.

Dziwnym trafem, tego samego dnia odbył się w Krakowie w kościele N. Panny Maryi ślub panny Katarzyny C. z jój stryjecznym bratem... ach, ale to do rzeczy nie należy! Przepraszam!...

XII.

KONIEC NIE KONIEC.

Mimo najszczerzej chęci nie mogłem przyjechać na pogrzeb przyjaciela. Wiem tylko, że się odbył z współudziałem całej okolicy, szlachty i włościan. Bogaci i biedni opłakiwali w nim najzacniejszego obywatela, najlepszego sąsiada i prawdziwego dobroczyńcę.

Żal pani Krzuckiej był cichy, serdeczny, głęboki. Od dnia, w którym przywdziała wdowią szatę nie widziano już śmiechu na jój twarzy. Spokojna, poważna i pełna godności w każdym kroku, w każdym słowie. Pustota jój dziecięca i swywolna wesołość znikły, jak zczarowane ponurém światłem gromnicy. Czy znikły raz na zawsze? czy pani Margerita nakazała im tylko milczenie do czasu przez cześć dla zmarłego? Któż dziś odgadnie!

Małżeństwo Mieczysława z panną Seweryną dotąd do

skutku nie przyszło: związek odwleczony ale nie zerwany stanowczo. Czy listy nasze wpływ jaki wywarły? nie wiem. Wiem tylko, że dzień ślubu dotąd oznaczony nie został.

Pisałem do Mieczysława powtórnie w kilka dni po śmierci pana Waleryana. Doniosłem mu w tym liście i o Cezarze i o mumpsie i o ostatniej mojej rozmowie z panią Margeritą. Wiernie powtórzyłem wszystko co o nim mówiła... i jak mówiła.

Obowiązek przyjaźni był mi świętym. Niepowiem aby był zawsze miłym i łatwym do spełnienia...

Odpowiedzi na list ten czekam niecierpliwie, gorączkowo. Przewiduję dobrze jaką będzie ta odpowiedź!...

Gdyby jednak nie odpisał wcale? gdyby się ożenił z p. Seweryną?... W takim razie... kto wie?... kto wie?...


Szkoda tylko że te trzy... ale sza! to tajemnica pani Krzuckiej!..

KONIEC.





BIBLIOTEKA „SZKICÓW.”

- 
1. Wiara i Wiedza przez Dra Żulińskiego . . . 60 c.
 2. Żyd, przez Asnyka (E-ly) 75 »
 3. Talmud i żydzi, przez L. S. W. 50 »
 4. Trzeci Maja, dramat przez B. Bolesławitę 1 złr. 20 »
 5. Książ i Xiążę, studyum J. Bartoszewicza — 60 »
 6. Ostatnia stawka, nowella, M. Bałuckiego 1 złr. 20 »
 7. Tajemnica Pani Krzuckiej, nowella . . — 70 »

Orócz tego wyszły nakładem wydawnictwa „Szkiców”:

- Rovani. Młodość Juliusza Cezara 3 złr. — c.
Andersen. Malowanki — 60 »
Flaubert. Córa Hamilkara. (Salambbo) 2 złr. 50 »





